

małolodzie

ZIELONA GÓRA 23 III 1986 — 5 IV 1986 R.
ROK XXX NR 6 [611] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PLAWIENIE W ZIELONYM ŚWIECIE

Ryszard Rowiński

Gipsowy kokon odpadł.
— Jak się pani czuje?
— Dziwnie. Lżej, inaczej się oddycha.

— To normalne. Płuca lepiej pracują — powiedział lekarz.

Dziewczyna spojrziała w lustro, krzyknęła i złożyła ręce jak do modlitwy: Boże! nie jestem już kaleką. Mogę normalnie żyć!

W 1983 roku, w Lubuskim Ośrodku Rehabilitacyjnym dokonano tysiącznej operacji prostowania kręgosłupa. W innych ośrodkach ponad dwa tysiące. W Piekarach Śląskich postawiono na nogi człowieka ze złamanym kręgosłupem. Na konferencji naukowej w Rep-tach, chirurgowie mówili o 380 przypadkach operacyjnego usunięcia pourazowego paraliżu. Sukces nie byłby możliwy bez zielonogórskich rozpórek i specjalnej techniki operacyjnej opracowanej w Świebodzinie przez doktora Lecha Wierusza.

1.

— Harrington, proszę pana, jest znanym amerykańskim chirurgiem a równie inżynierem-mechanikiem. Dzięki temu wiedza o nim wszyscy ortopedzi. Ja jestem tylko chirurgiem, pan — mechanikiem, spróbujmy się dogadać...

Trudne spotkanie przedstawicieli dwóch oddalonych od siebie światów nastąpiło w gabinecie rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

Był rok 1973. Kazimierz Bącal przed wieloma laty zaglądał do atlasu anatomicznego. Z zainteresowaniem patrzył na rysunki szkicowane przez Wierusza, przyglądał się fotografiom rentgenowskim.

— To jest rozpórka Harringtona. Kosztuje kilkanaście tysięcy dolarów. Kupię ją cały świat. A mój pomysł jest taki. Możecie to zrealizować w swoim warsztacie? Oczywiście, ja nie znam się na technice. Rzecz zapewne trzeba dopracować...

— Oj, trzeba doktorze, trzeba.

Z huty Baildon otrzymano kilka kułków stali specjalnej, stopu tytanu, niklu, molibdenu, krzemu i manganu, używanej do produkcji implantów. Takiej stali organizm ludzki szybko nie

zżera. Precyzyjnie, własnoręcznie wyprodukowany przez docenta, prototyp, gładki, błyszczący, zapakowany w folię, zawędrował do sali operacyjnej. Zdał egzamin. Pierwszą pacjentką przeżyła dobry szok po wyjściu z inwalidztwa. Urząd Patentowy PRL, nie leniąc się, wydał świadectwo wynalazcze na rozpórke, której autorami byli Lech Wierusz i Kazimierz Bącal. Komitet Wojewódzki PZPR w Zielonej Górze poparł rozpoczęcie produkcji w skali technicznej. Producentem został Zakład Usług Technicznych Regionalnego Związku Spółdzielczości Inwalidzkiej. Pierwsze egzemplarze rozpórek W-B wysłał do klinik.

Potem był honor figurowania na liście najwybitniejszych wynalazków wdrożonych do produkcji w 35-lecie Polski Ludowej. Lech Wierusz, jako jedyny laureat Lubuskiej Nagrody Kulturalnej, wspólnie z Bącalem, został laureatem Lubuskiej Nagrody Technicznej. Z rekomendacji Lecha Wierusza, Kazimierz Bącal otrzymał w dużej sali Komitetu Wojewódzkiego PZPR Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Wrecał pierwszy sekretarz, Mieczysław Hebda.

Dla partii była to satysfakcja szczególnie na. Oto wręczano Krzyż za szczególne osiągnięcie techniczne, służące ludziom w sposób dobitny. Potwierdzona została linia, w myśl której Zielona Góra przeznaczyła całą swoją energię, na organizację uczelni technicznej w Zielonej Górze. Niektórzy pamiętali zabawny kłopot reżyserów uroczystości wmurowania aktu erekcyjnego pod gmach uczelni, którego bohaterem był Jurij Gagarin. Umyślono nawiązać do tradycji, ale zamiast pergaminu, postanowiono zmieścić stosowną treść na skórze. Tej też nie było. W sklepie muzycznym przy ulicy Westerplatte zakupiono bęben, zdarto zeń skórę. Jurij Gagarin mógł wmurowywać.

1.

Wystawę „Poiet 90” zorganizowano w Duesseldorfe. Miała dodać blasku naszym sukcesom. Wśród tysięcy eksponatów były również rozpórki W-B.

ciąg dalszy na str. 1

27 III — MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ TEATRU

Waldemar Kwasiński, aktor Teatru im. J. Chłapowskiego w Gorzowie: „Jakieś małe miasteczko” (czt., str. 5) Fot. archiwum



Cztery dni z sekretarzem

Wiesław Nodzyński

NAZWISKO Stanisława Swinarskiego słane jest nie tylko w gminie Brody, w której od dwu lat jest I sekretarzem Komitetu Gminnego PZPR, a wcześniej był dyrektorem Gminnej Szkoły Zbiorczej. Spotkać się można z nim na łamach prasy partyjnej, pedagogicznej, także „Polityki”, „Przeglądu Tygodniowego” i „Tygodnika Kulturalnego”, bydgoskich „Faktów” i zielonogórskiego „Nadodrza”. W licznych publikacjach wypowiada się jako bystry obserwator nie tylko zminnego życia, mający wiele do powiedzenia praktyk — pedagog, doświadczony działacz partyjny. Przez cztery dni towarzyszyłem mu od rana do wieczora. Było to w połowie stycznia br.

wtorek

Ostatnim wieczornym autobusem dojeżdżam do Lubka, skąd wiezie mnie swym wysłużonym „trabantem” Stanisław Swinarski. Dobrze się złożyło, bo po drodze musimy zabrać do Brodów dwie dziewczyny z Zarządu Gminnego ZSMP — przewodniczącą Marzenę Giezmę, kierowniczkę gminnej biblioteki i Irenę Rybę, kierowniczkę Klubu „Ruch”, które pojechały na zebranie w Biecku.

Czekaj już na nas.

Jak przebiegło zebranie? Dziewczyny oceniają je krytycznie. „Młodzież nie — tylko żąda. Nawet krzyczy”.

A co wy na to? „A co myślimy im mogły załatwić?”

Działalność organizacji młodzieżowej w gminie następcza sekretarzowi sporo zmartwień. Wszystko zaczyna się od aktywu, a tego brak. Będzie o tym mowa na najbliższym posiedzeniu egzekutywy KG.

Już w domu, dokąd zajechaliśmy późnym wieczorem i w którym udzielono

mi gościny, wymieniamy uwagi na ten temat. To jest jedno z najważniejszych zadań w działalności partyjnej ale i najtrudniejszych, twierdzi sekretarz. Wiosną starzeje. Młodzież, jeśli tu mieszkają, w większości ucieka lub pracuje w okolicznych miastach. Nie czują się tu zakorzenieni. I faktycznie, brakuje przywódców. Zaczynamy od ożywienia sportu. Odbudowaliśmy w Brodach LZS. Jan Kaniak, działacz partyjny i trener sportowy przeprowadził naszą drużynę piłki nożnej z grupy B do A. Staramy się ożywić działalność klubową, tworzyć nowe kluby wiejskie. Ale przede wszystkim koncentrujemy się na umacnianiu i aktywizowaniu wiejskich organizacji partyjnych, których mamy w gminie 12. Skupiają one 196 członków partii. To jest poważna siła, dzięki której udało się w gminie w ciągu ostatnich paru lat sporo zrobić, a można jeszcze więcej. Nie są to duże organizacje, zaledwie po 6-8 członków, większe są w PPGR. Ze względu na charakter gminy, typowo rolniczej, skupiają uwagę przede wszystkim na sprawach gospodarki rolnej. To teraz najważniejsze. Ale staramy się, tzn. nasz aktyw partyjny, aby czuły się one w coraz większym stopniu odpowiedzialne za całokształt życia na wsi. Za duży

ciąg dalszy na str. 4



Leon Bukowiecki

Bardzo rzadko bywają dzisiaj na świecie festiwale dobre, naprawdę godne obejrzenia. Dlatego tak się dzieje? Od 50 lat spada pod względem ilościowym produkcja filmowa dla kin, a ilość filmów dobrych zależy w zasadzie od ilości filmów powstających. Jeśli rocznie powstaje na świecie 6000 filmów, to 10 procent jest teoretycznie do dyspozycji festiwalu, czyli 600 obrazów. Przeglądów jest bez liku, na wszystkich muszą być filmy „dziewicze”. W samej Europie liczą się festiwale w Berlinie, Cannes, Karlowych Warach, Locarno, Moskwie, San Sebastian i Wenecji. Trzy razy więcej uznanych festiwali odbywa się na innych kontynentach. Rezultat: nie staroza dobrych filmów dla wszystkich.

CZY BERLIN ZACHODNI SIĘ „WYŁOŻYŁ”?

(KORRESPONDENCJA WŁASNA)

Ponieważ od lat czołowy festiwal odbywa się w Cannes, najlepsze filmy tam wędrują. Gdzie indziej muszą zadowalać się zastawionym nieco gorszym. Taki właśnie smutny obraz przedstawia tegoroczny festiwal zachodnio-berliński, gdzie w oficjalnym konkursie były zaledwie dwa filmy na przyzwoitym poziomie pozostałe bardzo przeciętne, chociaż wśród nich kilka ciekawych z niefilmowych powodów. Lepsze filmy wyświetlano poza konkursem, w tak zwanej „panoramie”, na pokazach nowych filmów niemieckich i na forum młodzieżowym.

ciąg dalszy na str. 9

Opinie i refleksje

EUROPA: NADZIEJE, ZNAKI ZAPYTANIA

Dramatycznie zszedł ze sceny Olof Palme. Był on synem swojej planety, ale również — i przede wszystkim — naszym europejskim kontynentem. Obchodzili go losy całej ludzkości. Długo z takim zadowoleniem i nadzieją po witali rozpoczęły w Genewie dialog pomiędzy dwoma wielkimi mocarstwami. W swoim ostatnim przed śmiercią wystąpieniu mówił:

„Sytuacja międzynarodowa rozjaśnia się. Rozpoczął się dialog między wielkimi mocarstwami. Nie można inaczej, niż z zadowoleniem powitać decyzję ZSRR o przedłużeniu moratorium na wybuchy nuklearne. Mijamy nadzieję na obustronne i kontrolowane zaprzestanie eksplozji atomowych. Takie zaprzestanie daje możliwości i czas na rozmowy i przemyślenia. To przecież oczywiste, że możemy żyć bezpiecznie, jeśli wszystkie próby jądrowe zostaną wstrzymane (...) Konferencja sztokholmska weszła w bardziej aktywną fazę. Widzę rok 1986 jako rok wielkich nadziei. Musimy wszyscy przyczynić się do tego, aby te oczekiwania nie stały się również rzeczywistością”.

Chciałbym tu właśnie nawiązać do bardzo ważnej dla nas, mieszkańców starego kontynentu, sztokholmskiej Konferencji w sprawie Środków Budowy Zaufania i Bezpieczeństwa oraz Rozbrojenia w Europie. Zamknęła ona właśnie okres dwuletni, szczególny dyskusyjny i obecnie jej obrady poświęcone osiągnięciom definitywnym ustaleniu i redakcji Dokumentu Końcowego.

W toku dyskusji wszyscy mówcy zgodnie podkreślali, że bardzo poważny wpływ na przebieg negocjacji w Sztokholmie wywarło listopadowe radziecko-amerykańskie spotkanie na najwyższym szczeblu w Genewie. Opublikowane wspólne oświadczenie Gorbaczowa-Reagana stwierdzało: „przysługujące doniosłe znaczenie do Konferencji Sztokholmskiej... strony zdecydowały o przyczynieniu się do jej jak najszybszego pomyślnego zakończenia”.

Wydatne wysiłki w kierunku osiągnięcia takiego właśnie porozumienia podejmuje Polska. Można bez przesady powiedzieć, że gramy teraz na tej Konferencji niemal „pierwsze skrzypce”, albowiem to właśnie delegacja polska wystąpiła ostatnio z propozycją rozwiązania jednego z najbardziej spornych problemów — a mianowicie sposobów zapraszania obserwatorów na tzw. notyfikowaną działalność wojskową (manewry, ćwiczenia, przegrupowania wojsk itp.). Kluczowym elementem propozycji polskiej jest założenie, że zaproszenia na notyfikowaną działalność wojskową będą wysyłane do wszystkich państw uczestniczących w Konferencji Sztokholmskiej. Poprzednio kraje socjalistyczne opowiadały się za selektywnym zapraszaniem obserwatorów — ich grono miało być ograniczone do przedstawicieli państw sąsiadkich. Przyczyna nie prawa wysyłania obserwatorów wszystkim państwom uczestniczącym w Konferencji i nałożenie na nie jednakowych obowiązków zapraszania tych obserwatorów jest bez wątpienia główną przyczyną, powszechnie dobrego przyjęcia polskiej propozycji.

Tak np. delegat Szwecji Björn Elmer oświadczył, że jest to bardzo istotna inicjatywa a polskie podejście do tej kwestii jest bliskie szwedzkiemu. Propozycje Polski są nadal żywo dyskutowane nie tylko w aspekcie ich treści, która jest przedmiotem rozważań w grupie redakcyjnej, ale także jako apel do innych państw, aby przedkładały w podobnej rozwiniętej formie swoje propozycje. Nawet państwa NATO uznały celowość takiego działania, ale niestety, jak dotychczas nie potrafiły przedstawić konstruktywnych propozycji odnośnie dyskusyjnych w Sztokholmie tematów. Mijamy nadzieję, że niebawem to jednak nastąpi, tak jak mamy prawo oczekiwać odpowiedzi na propozycję krajów naszej wspólnoty zgłoszone na Konferencji Wiedeńskiej — będącej innym ważnym forum bezpieczeństwa europejskiego.

Otóż, biorąc pod uwagę obawy Zachodu, w sprawie kontroli liczebności wojsk, nasze kraje przedstawiły ostatnio projekt porozumienia przewidujący istotny kompromis właśnie w zakresie sposobów kontroli.

Jak wiadomo, celem rokowań wiedeńskich jest osiągnięcie porozumienia w sprawie obniżenia liczebności wojsk NATO i Układu Warszawskiego stacjonujących w Europie Środkowej. W tej sprawie delegacja państw socjalistycznych zgłosiła ostatnio nowe, konstruktywne propozycje. Po ich przedstawieniu, nawet rzeczywiste delegacje zachodnie musiały stwierdzić — jak cytują AGENCE FRANCE PRESSE — że: „to atmosfera rozmów coś drgnęła, poculiśmy się na drodze zbliżającej nas ku porozumieniu”.

Oby tak się rzeczywiście stało.

MICHAŁ HOROWICZ

Pewny krok

MUSZĘ uwierzyć statystyce: przed rokiem 1980 do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej należało blisko 180 tysięcy mieszkańców województwa zielonogórskiego, co by oznaczało, że co czwarty zielonogórzanin miał legitymację TPPR, opłaćł w miarę systematycznie składki członkowskie, umacniał przyjaźń z Krajem Rad. Dziś, w roku 1986 wojewódzka organizacja TPPR skupia tylko 30 tysięcy członków indywidualnych. A przed kilkanaście laty było ich chyba 12 tysięcy. Która liczba jest prawdziwa? Dlaczego członkowie występowali z Towarzystwa? „Kto podważał sojusznika polsko-radzieckiego?” Na te pytania starał się odpowiedzieć uczestnicy Konferencji Sprawozdawczo-Informacyjnej TPPR, która odbyła się pod koniec lutego br. Najtrudniejsze lata, wydaje się, Towarzystwo ma za sobą. Powoli, ale z całym rozsądkiem odbudowuje się, coraz mniej głosów o jego likwidacji, coraz mniej przeciwników współpracy z Związkiem Radzieckim. Zresztą ci, którzy krzyżeli, albo zrozumieli, że nie tędy droga, albo dostrzegli, że najlepszy przyjaciele zawsze są najbliżej. Jest też prawda, że w tej bolesnej i zupełnie niedawnej przeszłości każdy, kto przypominał o zasługach żołnierzy radzieckich w rozgromieniu hitlerizmu, kto dostrzegał korzyści płynące z współpracy, wszelkiej, z narodami radzieckimi, uważany był za raroga. Na szczęście ludzie poszli po rozum do głowy i już wiedzą, że nie zawsze na pomoc zachodnio-europejską czy atlantycką można liczyć.

Rozwojowi, a raczej odbudowie TPPR sprzyjały lata 1984-86. W wielu zakładach pracy, szkołach, instytucjach od nowa powstawały organizacje. Jest i wiele takich fabryk, w których do Towarzystwa nie należy żaden pracownik,

za szkoły, gdzie pracują nauczyciele języka rosyjskiego, a nie ma szkolnych kół, na przykład w Gozdniczy, Babimoście, Bytomiu Odrzańskim, Nowym Miasteczku, Lipinkach Łużyckich, Kołsku, Trzebiechowie, Wymarkach, gminie Zarzy. Są też gminy, gdzie nie ma nie tylko zarządów, lecz i kół. W Babimostcie do TPPR należy 9 osób, w robotniczym Zbąszynku — 20, w Bojadach — 17, w Bytnicy — 15, w Świdnicy i Siedliszku — po 20, w Trzebiechowie — 10, w gminie Zagań — 9. Ale są i gminy, gdzie organizacje bardzo liczne, np. w gminie Zielona Góra do Towarzystwa na-

Z REGIONU

leży 1015 osób, w Sulechowie — 658, w Nowej Soli — 1718, w Gubinie — 541, a w mieście Zielona Góra — 3232. Myślę, że te liczby są prawdziwe, chociaż niewiele mogą powiedzieć o działalności np. gminnej organizacji w Zielonej Górze, chyba tylko tyle, że członkowie opłacają składki. O aktywności Towarzystwa nie decyduje jego wielkość. Oto np. szkolna organizacja w Zespole Szkół Medycznych w Zielonej Górze ma tylko 117 członków, w tym 19 nauczycieli, ale organizuje systematycznie tygodnie kultury radzieckiej, koncerty muzyki kompozytorów rosyjskich i radzieckich, opiekę nad grobami żołnierskimi, jej członkowie czytają prasę radziecką, korespondują ze swoimi rówieśnikami w ZSRR.

Celem TPPR nie jest istnienie tylko dla istnienia, lecz upowszechnianie wiedzy o Związku Radzieckim, propagowanie jego osiągnięć technicznych, naukowych, politycznych, kulturalnych. Towarzystwo osiąga to różnymi metodami i sposobami. Powstało niedawno wydaw-

nictwo TPPR „Współpraca” drukuje w języku polskim przekłady z literatury na rodow radzieckiej. Powstało w ubiegłym roku biuro podróży „Kalinka” pod jego organizacją wyjechało do Związku Radzieckiego i przyjmowania gości radzieckich w Polsce. Zarząd Województwa Zielenogórskiego powołał w Zielonej Górze własne Biuro Imprez i Turystyki, zamierza zorganizować dom kultury, prowadzić sklepy z upominkami, książkami, pamiątkami. Są to nowe metody działania, jeszcze nie sprawdzone, ale już zaakceptowane. Zdaniem działaczy, Towarzystwo musi, coś dawać swoim członkom. W ciągu dwóch ostatnich lat 450 zielonogórzan uczestniczyło w wyjazdach do Związku Radzieckiego, w tym roku przygotowano więcej wyjazdów, do bardzo ciekawych miejscowości, z interesującymi programami.

Najbardziej upowszechnianiu wiedzy o Związku Radzieckim sprzyja imprezy kulturalne. W Zielonej Górze od 21 lat jest organizowany festiwal piosenek radzieckich, najbardziej masowy konkurs dla młodzieży w Polsce. Towarzystwo należy na upowszechnianiu radzieckiej kultury muzycznej wśród Polaków, ale i na wydobywaniu polskich talentów. Przy festiwalu powstały zupełnie nowe imprezy, m.in. plener malarzy polskich i radzieckich, dni literatury radzieckiej, dziecięcy festiwal „Barwy przyjaźni”. Z jednej strony służy to upowszechnianiu kultury radzieckiej, z drugiej zaś propagowaniu dorobku artystycznego województwa zielonogórskiego. W Związku Radzieckim mówi się, że najbardziej znanym tu miastem polskim prócz Warszawy jest Zielona Góra. Przy okazji tych imprez w Zielonej Górze powstała muzealna kolekcja malarstwa współczesnego — Galeria Przyjaźni, opracowano koncepcję zagospodarowania terenu po hitlerowskim obozie Stalag VIII C w Zaganu, ukazały się naukowe opracowania historyków lite-

ratury radzieckiej, gościliśmy wybitnych pisarzy radzieckich i polskich. Towarzystwo organizuje konkursy recytatorskie poezji i prozy radzieckiej, możliwości języka rosyjskiego, czytelnictwa, plastyczne dla dzieci.

Gdyby nie członkowie TPPR w Wyższej Szkole Inżynierskiej, Zielona Góra nie wniosła by tak wielkiego wkładu w rozwój polskiej kosmonautyki, nie przyjeżdżaliby tu studenci i młodzi uczeni z krajów socjalistycznych, nie wygłaszali w tym roku blisko 100 referatów.

Związek Radziecki jest krajem posiadającym bogate osiągnięcia, ale i trudne problemy do rozwiązania. Chodzi o to, by w Towarzystwie mówić i o tym, i o tym, zresztą sami Rosjanie nie ukrywają swoich kłopotów, przyznają, że w ostatnich latach tempo wzrostu wydajności pracy i ogólnego rozwoju gospodarki zostało zahamowane, nie godzą się z tym stanem rzeczy.

27 zakładów zielonogórskich sprzedaje swoje wyroby do Związku Radzieckiego, wiele produktów radzieckich trafia na nasz rynek, wiele radzieckich nośników technicznych i sposobów produkcyjnych zaadaptowały zielonogórskie fabryki. Tego nie da się ukryć, to widać. A że nie wszystko się u nas sprawdza, to nie jest winą Rosjan. Tak samo jak i nie jest winą Towarzystwa to, że organizacje młodzieżowe (ZSMP, ZMW, ZHP, ZSP) nie potrafią skorzystać z pomocy TPPR w upowszechnianiu dorobku młodzieży radzieckiej.

Jeszcze jeden krok został zrobiony. Towarzystwo przeanalizowało swoje słabości, nie chce być organizacją formalną, fasadową, chce służyć umacnianiu przyjaźni i wiedzy o Związku Radzieckim. Chce i może być partnerem każdego człowieka, wszak służy tylko ludziom.

ALFRED SIATECKI

Za Odra

Współpraca z ZSRR

W Moskwie podpisane zostało porozumienie między ZSRR i NRD o wzajemnej wymianie towarowej i współpracy na lata 1986-1990. Nastąpi wymiana maszyn i urządzeń dla energetyki jądrowej, metalurgii, przemysłu chemicznego i papiernicznego, gospodarki rolnej oraz wspólna budowa obiektów przemysłowych. Porozumienie podpisali przewodniczący Państwowego Komitetu ZSRR ds. stosunków gospodarczych z zagranicą, Konstantin Katuszew oraz minister handlu zagranicznym NRD, Horst Soelle. Osobno podpisano również porozumienie o współpracy przy budowie gazociągów Jamburg-Zachodnia granica ZSRR oraz innych obiektów radzieckiego przemysłu wydobywczego gazu i ropy naftowej, jak też o związanych z tym dostawach gazu z ZSRR do NRD. Szczególną uwagę poświęcił się współpracy w rozwoju kompleksu energetyczno-paliwowego NRD oraz zwiększeniu mocy energetycznych kraju, w tym również energetyki jądrowej. Dwukrotnie zwiększona zostanie m.in. moc elektrowni atomowej „Nord”.

Komuniści

W końcu 1985 r. Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności liczyła 2194585 członków i 98704 kandydatów czyli łącznie 2293289 osób. Od X zjazdu NSPJ w 1981 r. przyjęto 350408 kandydatów. W okresie międzyzjazdowym liczba członków i kandydatów NSPJ wzrosła o 121179 osób. W sumie członkiem lub kandydatem partii jest obecnie co szósty obywatel NRD w wieku powyżej 18 lat — zaś spośród pracujących zawodowo — co piąty.

W szeregach NSPJ najwięcej jest obecnie robotników — 58,2 proc., następnie pracowników sfery produkcyjnej — 37,9 proc. oraz inteligencji — 2,4 proc. W dalszej kolejności są: chłopcy — 0,7 proc., studenci i uczniowie — 2,1 proc.

Racjonalne zatrudnienie

W 1985 r. w NRD w ramach realizowanej w ostatnich latach akcji racjonalnego zatrudnienia, zmniejszono 260000 miejsc pracy w całej gospodarce kraju. W przemyśle, budownictwie oraz komunikacji poprawiono również warunki pracy 75000 osób. Działania w tym kierunku podjęto po raz pierwszy w 1978 r. w kombinacie petrochemicznym Schwedt pod hasłem „mniej osób więcej produktu”. Od tego czasu do końca ub. r. w całym kombinacie 7615 osób przesunięto na nowe miejsca pracy. W tym roku przewiduje się zmniejszenie w ramach planu gospodarczego 266000 miejsc pracy w przemyśle, budownictwie, transporcie. Zamierza się również poprawić warunki pracy 86000 osób. Jednocześnie zaoszczędzonych zostanie 500 mln godzin pracy.

Kontakty FDJ

„Falken”

W ostatnim okresie intensywnie rozwijają wzajemne kontakty organizacja młodzieżowa NRD — FDJ oraz Związek Federalny Socjalistycznej Młodzieży Niemiec — „Falken”. W trakcie niedawnej wizyty przedstawicieli FDJ w RFN podkreślono zgodność poglądów w kwestii pokoju, odprężenia oraz współpracy międzynarodowej. Wskazano również na potrzebę owocnej współpracy między organizacjami młodzieżowymi obojdwu krajów.

Sekretarz Centralnej Rady FDJ, Eberhard Aurich oraz przewodniczący zarządu federalnego Socjalistycznej Młodzieży Niemiec, Roland Klapprodt zdołali oświadczyć, że obecnie mamy do czynienia z wieloma nowymi zjawiskami nie tylko na arenie międzynarodowej, ale również i w stosunkach pomiędzy obojdwoma państwami niemieckimi. Na leży je wykorzystywać we wspólnym interesie dla nadania nowych impulsów w rozwoju przyjaźni między młodzieżą obojdwu krajów oraz kontynuować rozpoczęty dialog.

0 patologii społecznej

Na łamach prasy NRD w większym niż dotychczas stopniu trafiają doniesienia o niektórych zjawiskach występujących w tym kraju patologii społecznej. W licznych informacjach o różnego rodzaju wykroczeniach donosi się już nie tylko o wypadkach drogowych i wykroczeniach w ruchu komunikacyjnym, ale i o zbrodniczych seksualnych, gwałtach, kradzieżach, pożarach, dewastacjach różnego rodzaju obiektów, nadużyciach, wadliwie funkcjonujących urządzeniach gospodarki komunalnej.

Np. „Der Morgen” doniósł o skazaniu na karę 6,5 roku pozbawienia wolności 19-letniego Stefana H., zbrojnika, który w dzielnicy berlińskiej Marzahn w przeciągu lutego i marca 1985 r. dokonał licznych przestępstw na tle seksualnym. „Berliner Zeitung” poinformowała o skazaniu 19-letniego Rene S. oraz 21-letniego Joerga H. za kradzież oraz napad. Napadali oni na samotne osoby zabierając im pieniądze i zegarki, wdarli się do mieszkań oraz obrabowali jeden z kiosków spożywczych.

Za Łabą

Nie spłacony rachunek

Wniosek frakcji „Zielonych” w parlamencie zachodniemieckim o wypłacenie przez RFN odszkodowania wszystkim ofiarom pracy niewolniczej w III Rzeszy wywołał zamieszanie i dyskusję. Nie ważne jest, że wniosek został odrzucony zarówno przez partię rządową, jak i opozycyjną SPD. Istotny jest fakt przypomnienia na forum parlamentarnym sprawy dotyczącej milionów obywateli Polski i innych państw

okupowanych przez Rzeszę hitlerowską. Umowa Poczdamską z 2 sierpnia 1945 przewidywała m.in. obowiązek państwa agresora udzielenia — poza reparacjami i restytucją zagrabionego mienia — także odszkodowań. Obowiązek ten w stosunku do obywateli polskich nie został spełniony przez rząd RFN, przy czym odgrywały i odgrywać tu rolę przesłanki dyskryminujące Polaków i Polaków. Roszczenia Polski i jej obywateli z racji prześladowania, maltretowania czy pracy przymusowej odrzucone były przez rząd RFN z uzasadnieniem, że wnioski złożone zbyt późno lub wnoszone roszczeń jest przedwcześnie, gdy brak traktatu pokojowego z Niemcami (do 15.09.1972 r.) albo brak stosunków dyplomatycznych Polska — RFN. Były to wykręty, ponieważ istota sprawy polega na tym, iż polskie ofiary hitlerizmu zostały z premedytacją pozbawione prawa do odszkodowań na mocy Federalnej Ustawy Odszkodowawczej z 1956 r. znieważonej 14.11.1985 r. W myśl tej ustawy prawo do odszkodowania mają tylko te osoby, które poniosły cierpienia i straty z powodu politycznej wrogości do narodowego socjalizmu lub z przyczyn rasowych, religijnych lub światopoglądowych były prześladowane w III Rzeszy. Polacy — tak interpretowano — nie należą do tej grupy, ponieważ — zgodnie z wewnętrznym prawodawstwem zachodniemieckim — ich działalność w ruchu oporu z pobudek narodowościowych skierowana była przeciw narodowi niemieckiemu, a nie przeciw reżimowi narodowo-socjalistycznemu. W ten sposób władze RFN samo wolnie odebrały prawo do starania się o odszkodowanie nie tylko milionom Polaków — byłym więźniom obozów koncentracyjnych, ofiarom sądów specjalnych i Sądu Ludowego III Rzeszy, ale również polskim robotnikom przymusowym i jeńcom wojennym, zmuszonym wbrew międzynarodowym konwencjom do niewolniczych prac. Polscy robotnicy przymusowi w liczbie 2,841 mln osób przepracowali ponad 32,6 mln robotniczych w III Rzeszy, wzbogacając większość wielkich koncernów przemysłowych, które poważnie zwiększyły swe zyski wskutek korzystania z taniej a często bezpłatnej siły roboczej. Wnioski skierowane przez Polaków do tych koncernów o odszkodowanie zostały odrzucone pod różnymi pretekstami: przedawnienia (I.G. Farben); należność za pracę Polaków była wypłacana na konto SS, które dostarczało fabrykom pracowników przymusowych (Messerschmitt); nie można płaćć za pracę w obiektach zbrojeniowych (Krupp) itd. Te same koncerny wypłaciły jednak odszkodowanie dla robotników przymusowych z innych państw: I.G. Farben — 20 mln. AEG — 10 mln. Siemens-Halske — 5 mln a ostatnio Flick — 5 mln, lecz wyłącznie byłym więźniom żydowskim.

Pomnik

pamięci narodowej

W Republice Federalnej trwają spory i dyskusje na temat budowania w Bonn „pomnika pamięci narodowej”, pod którym zagranicznicy mówią o mogiły oficjalnie składać wieniec podczas wizyt państwowych nad Renem. Stworzeniem takiego obiektu zainteresowany jest sam kanclerz Helmut Kohl. Również jego poprzednik, Helmut Schmidt, uważał tę ideę za słuszną i pożądaną. Wreszcie w całą sprawę zaangażowało się dziesięć różnych organizacji, jak pisał „Die Zeit” od Centralnego

Związku Demokratycznych Bojowników Ruchu Oporu i organizacji osób prześladowanych po Koło Niemieckich Związków Żołnierzy.

Dyskusja na temat pomnika ujawniła prawie nierozwiązywalny dylemat, jakim jest idea równoczesnego uczczenia ludzi zamordowanych przez Niemców i własnych poległych. Jest to idea, która zaprowadziła Kohla do Verdun i Bittburga. W opublikowanym w 1983 r. aide memoire wspomniane wyżej organizacje stwierdziły m.in., że to „miejscie pamięci powinno przeciwdziałać braku światła domości historycznej naszych czasów oraz wnieść wkład w tożsamość naszego narodu”, co jest całkowicie zgodne z teząmi głoszonymi przez kanclerza w jego wystąpieniach.

W licznych głosach krytycznych na temat inicjatywy budowy pomnika zwraca się m.in. uwagę, że po okresie panowania brutalnej dyktatury i wymordowania sześciu milionów Żydów, we wspomnianej grupie inicjatorów nie znalazło się miejsce dla Centralnej Rady Żydów, lecz słowa „Żyd” nie wzmienia się nawet w aide memoire, tak samo, jak nie mówi się w nim o wymordowanych komunistach, chorzech umysłowych, Cyganach czy homoseksualistach.

W Bonn myśli się, jak pisał „Die Zeit”, o jednoczesnym uczczeniu nie tylko własnych poległych, lecz również tych, którzy zginęli z rąk Niemców, a więc sprawców i ich ofiar. To zapewne skłoniło jednego z przedstawicieli gminy żydowskiej w Bonn do stwierdzenia: „Uważam, że nieetyczne uczczenie go by godniej, gdyby w ogóle zrezygnowano z pomnika”.

Antyamerykanizm?

Pod koniec ub. r. w Berlinie Zachodnim odbyła się kolejna konferencja zachodniemiecko-amerykańska, zorganizowana przez Fundację im. Konrada Adenauera i Instytut Lehrmana. Tym razem tematem konferencji były „problemy współpracy niemiecko-amerykańskiej”, rozumianej szeroko, bo mówiono m.in. również o specyficznej sytuacji gospodarczej Berlina Zachodniego.

Duże zainteresowanie uczestników obrad wywołał referat Manfreda Goerte makera z Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego na temat zmiany postaw młodego pokolenia wobec Stanów Zjednoczonych. Stwierdził on, że przeważająca część młodzieży zachodniemieckiej opowiada się za trwałymi więzami Republiki Federalnej z USA, jednak od czasu prezydentury Cartera wśród młodych Niemców szerzy się sceptycyzm wobec amerykańskiej polityki na granicznej. Tendencja ta nasiliła się przede wszystkim w pierwszych latach kadencji Reagana. Odpowiadając na wywody Goertemakera, prof. Szabo z National War College przeciwstawił się ryczałtowemu ocenom młodego pokolenia obywateli RFN i stwierdził, że krytyczność lub wrogość do USA nastawieni młodzi ludzie stanowią tylko niewielką część tej grupy wieku. Charakterystyczny jest zwłaszcza wysoki na ogół poziom wykształcenia tych ludzi. Ponadto w tej grupie ponadproporcjonalny udział mają nauczyciele i dziennikarze. „Powielająca” funkcja tych grup zawo- dowych zwiększa ich znaczenie dla kształtowania opinii publicznej w RFN; mogą one przez to stawać się coraz większym „obciążeniem” dla stosunków zachodniemiecko-amerykańskich.

Nie ma chyba w województwie zielonogórskim drugiej tak fotogenicznej fabryki, jak Polska Wełna, i tak bogato utraconej na kliszach fotoreporterów — Bugla, Luniewicza, Gawalkiewicza i innych. W archiwum prasowym z latów ciążących można znaleźć zdjęcia ukazujące zakład zewnątrz lub wewnątrz, zwłaszcza przedziałnie. Budynki rozłożone płasko przy wejściu do Zielonej Góry, przedstawiają się efektownie, skądkolwiek by nie patrzeć, a najlepiej z wysokości Palmiarni. W pierwszych latach Festiwalu Piosenki Radzieckiej istniał zwyczaj prowadzenia gości na Wzgórze Winne, a w Palmiarni odbywało się wręczanie nagród laureatom. Przy tych okazjach robiono pamiątkowe zdjęcia, na których prawie zawsze widnieje w tle choćby fragment Polskiej Wełny.

Niedawno Polska Wełna obchodziła czterdziestolecie pracy w Polsce Ludowej i równocześnie 150-lecie istnienia. Podczas akademii w sali Teatru im. Leo na Kruczkowskiego przypomniano wojenną historię fabryki: tworzenie się załogi, montowanie maszyn i uruchamianie produkcji, a potem jej rozwój, aż do dziś. Zasłużyli pracownicy otrzymali odznaczenia i nagrody, było parę przemówień, wiele gratulacji i pochwał. Uroczystość była wspaniała, ale czegoś jednak brakowało. Brakowało orkiestry. Nie zagrała orkiestra dęta Polskiej Wełny na jubileusz zakładu, ponieważ orkiestra już nie ma. Ta chwila żalu za orkiestrą stała się przyczyną mojej zabawy.

Polska Wełna tak pięknie wrosła w krajobraz Zielonej Góry i tak znacząco tkwiąca w wizytówce gospodarstwa miasta wniosła wielki i trwały wkład do kultury. Po wyzwoleniu, gdy wszystko trzeba było zaczynać od początku, w Polskiej Wełnie zawiązał się amatorski teatr „Reduta”. Z tych zainteresowań teatralnych załogi, z rywalizacji z innymi grupami amatorskimi, z dobrej i rozsądnej opieki nad działalnością amatorską ze strony ówczesnej dyrekcji zakładu, zrodziły się ambicje, które doprowadziły w efekcie do powstania sceny zawodowej.

Polska Wełna była też mecenasem muzyki. Zawiązany tu w pierwszych latach powojennych zespół kameralny dał początek orkiestrze, w której wychowali się późniejsi symfonicy zielonogórscy.

Tak oto fabryka ta, już przed trzydziestą z górą laty, realizowała wymogi dzisiejszych czasów, inspirowała i prowadziła to, co mieści się w dzisiejszym pojęciu kultury robotniczej.

Związki Polskiej Wełny z teatrem utrzymywały się przez długie lata, nie tylko od święta. Pamiętam jakieś dyskusje po spektaklach w latach siedemdziesiątych, wieczory poezji, spotkania z aktorami i reżyserami w klubie fabrycznym. Jednego razu wprost w hali produkcyjnej miało miejsce niecodzienne wydarzenie: premiera sztuki Ignatija Dworcieckiego „Człowiek znikąd” w reżyserii Ryszarda Zurowskiego.

Droga od bramy, przez dziedziniec i dalej wewnątrz budynku, wysłana była afiszami. Aktorzy występowali na scenie zaaranżowanej na środku, widownię siedzieli dokoła. Była to bardzo interesująca sztuka, mówiło się o niej w tym czasie wiele, również o jej autorze — urodzonym nad Bajkałem, a mieszkającym w Leningradzie, dramaturgu, który po ukończeniu Instytutu Państwa i Prawa, aby — jak pisał — móc śledzić życie współczesnego człowieka, próbował różnych zawodów: był slusarzem, tokarzem, kierowcą, traktorzystą i rybakiem. W Teatrze Powszechnym w Warszawie tytułową rolę inżyniera grał Gustaw Holoubek, u nas — Ireneusz Karamon, obok którego wystąpili Zdzisław Grudzień, Hilary Kurpanik, Tadeusz Bartkowiak, Cyryl Przybył i wielu innych. Akcja sztuki rozgrywała się w fabryce, w której narastają konflikty z chwilą przybycia głównego bohatera.

Może nie najlepiej było z akustyką,



Halina Ańska

może były jakieś inne niedociągnięcia, mogło się też wszystko to komuś nie podobać. Ale niezależnie od oceny artystycznej przedstawienia, było to wydarzenie, które wspomina się do dzisiaj.

Kiedy w 1977 roku kraj obiegło hasło „sojuszu świata pracy z kulturą”, pierwsza w Zielonej Górze odpowiedziała na nie Polska Wełna, urządzając w klubie wielkie zebranie przedstawicieli środowisk twórczych i szefów instytucji kulturalnych. Ciekawe, że niemal wszystko, co zostało wtedy powiedziane, w skłonie krytyczne i wnioski, także deklaracje i zobowiązania mocodawców od kultury, można by powtórzyć dziś. Nie straciły aktualności.

Klub Polskiej Wełny rozpoczynał wówczas swój ambitny program, mając tymczasem działalność nieźle rozwiniętą w paru kierunkach. Istniały i pracowały w tym czasie: chór, muzyczny zespół rozrywkowy, balet dziecięcy, sekcja fotograficzna, ognisko muzyczne prowadzone przez LTM, koło miłośników teatru. Można było obejrzeć pamiątki z przeszłości fabryki, amatorskie prace malarzkie, piękną kolekcję gobelinów własno-

ściście utkanych przez grono pań z sekcji tkackiej oraz wystawę obrazów Hilariego Gwizdały. Klub otwarty był do późnego wieczora, zwłaszcza kiedy odbywały się próby kabaretu „Szpula”.

Z tym kabaretem, to było tak. Ukazał się w „Nadodrze” mój reportaż pt. „Jakie są?”, o dziewczętach z cerowni. Jakże były? Zwyczajne. Ukończyły szkoły zawodowe, jedna uczyła się zaocznie w technikum. Staraly się pracować jak najlepiej, oszczędzały na mieszkanie, telewizor, jakiś lepszy ciuch. Miały swoje marzenia, radości i smutki. Kiedyś po pracy Ewa, dwie Danki, Elżbieta i jeszcze parę osób przyszły do klubu i postanowiły założyć kabaret. Pomagałam im robić program, pisałam teksty, razem z nimi przygotowywałam przedstawienia i razem z nimi przeżywałam tremę. Pracujący do dzisiaj w klubie Jurek Utrata, pamięta jeszcze kuplety i piosenki, które śpiewał w kabarecie.

Czego chciała Polska Wełna przed dziesięć laty od stowarzyszeń i instytucji kulturalnych? Plastyków prosiła o pomoc w utrzymaniu galerii sztuki i zorganizowaniu pracowni plastycznej. Muzeum o prowadzeniu studium wiedzy o sztuce. Od WDK oczekiwała współpracy przy organizowaniu wieczorów w wolne soboty, od Filharmonii koncertów kameralnych, od LTM konsultacji dla orkiestry dętej. Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów, które wyświetlało w klubie bajki, prosiła o filmy krótkometrażowe dla dorosłych. Do LTK zwróciła się o pomoc dla amatorów plastyków, do ZLP o zainteresowanie się kilkoma robotnikami piszącymi. „Pisarze, poeci, dziennikarze, wszyscy ludzie pióra, wejdźcie, zobaczcie hale i maszyny, poznajcie rodowód załogi, popatrzcie jak ona pracuje, a potem piszcie opowiadania, wiersze, reportaże, powieści, sztuki dramatyczne” — pisało „Nadodrze”.

Życie samo robiło selekcję i tylko niektóre z tych propozycji były realizowane. Tak czy owak był to w sumie w Polskiej Wełnie okres ruchu bardzo żywego i obiecującego, toteż warto wspomnieć kilkoro spośród ludzi, którzy go inspirowali: Stanisław Kucharuk pia-

stulając wówczas funkcję sekretarza Komitetu Zakładowego, Dominik Chudziński szefową związków zawodowych i Romana Więkowski, kierownika klubu.

Niedawno zostałam zaproszona do klubu Polskiej Wełny na spotkanie z czytelnikami. Jak się okazało, byli to owszem, moi czytelnicy, którzy pamiętają wszystko, co pisałam o ich zakładzie, pamiętają też dyskusje na łamach „Nadodrza” poświęconą kulturze w Polskiej Wełnie i kabaret „Szpula”, ale są także, nawet przede wszystkim, czytelnikami książek. Właśnie biblioteka zakładowa podsumowała konkurs czytelników i przyznała nagrody. Rozmowa zrazu toczyła się pogodnie, ale już po chwili zaczęły wychodzić jeden po drugim, same żale, za czymś co było, a czego nie ma. Nie ma orkiestry, nie ma chóru. Nie ma ogniska muzycznego. Nie ma chętnych do kółek i sekcji, więc nie ma sekcji i kółek. Ludzie nie dają się namówić na pójście do teatru czy na koncert, nie interesuje ich też estrada. W klubie tylko wtedy jest pełno, gdy sala zostaje wynajęta pracownikowi na weselie albo chrzciny.

Słyszało się, że ktoś maluje, czy pisze. Teraz się nie słyszy. Było zainteresowanie tenisem, były nawet korty, ale już ich nie ma. Przez długie lata ukazywała się gazeta zakładowa, już się nie ukazuje. Był radiowęzeł, ale też przestał działać. Dlaczego upadło życie kulturalne, czy z braku pieniędzy, czy z braku odpowiednich animatorów? — zadawał sobie pytanie moi rozmówcy, po czym usiłowali sami odpowiedzieć. Tak, brakuje pieniędzy, nie ma papieru na gazetę ani możliwości wydawania jej w poligrafii, nie ma środków na utrzymanie instruktorów, nie ma sposobów na przyciągnięcie do klubu młodzieży. Wszyscy są zagonieni, kończą pracę i biegną, każdy w swoją stronę. Po prostu — inne czasy. Życia klubowego, takiego jakie było dawniej, już się nie wskrzesi, Amen.

Trzeba powiedzieć o czymś, co w klubie jest, mianowicie biblioteka, ponad 27 tysięcy tomów, około czterdziestu

sięczy wypożyczeń rocznie. Kierowniczka klubu cieszy się, że może kupować nowe pozycje, ma na to 150 tysięcy zł. A więc jest czytelnictwo, jest też nauka tańca, a poza tym jeszcze czasem udają się wycieczki. I to wszystko, co pozostało z okresu świetności oraz czasu poszukiwań i wielkiego boomu pomysłowy.

Przygotowuje się plan 5-letni, trwa kampania przed X Zjazdem PZPR. W tej wielkiej ogólnonarodowej rozmowie pojawia się także temat „kultura”. Jest kultura, którą sprowadzamy do tego, co można zobaczyć w teatrze i kinie, przeczytać w książce, i gazecie, posłuchać w radio i obejrzeć w telewizji. Kultura w drugim pojęciu obejmuje życie codzienne człowieka, jego wychowanie i zachowanie, kontakty z innymi ludźmi, jego poczucie estetyki, moralności, ambicje, jego stosunek do pracy i sposób w jaki wypoczywa. Zarówno w jednej jak i w drugiej sferze wiele jest błędów, braków, niedostatków i tu gdzieś właśnie mieszczą się żale za tym, co było, a czego już nie ma.

Ale przecież trzeba pamiętać, że czas wszystko zmienia, a więc zmienia także potrzeby duchowe człowieka. Dziś trudno byłoby zwołać grupkę ludzi i założyć taki np. teatr amatorski na wzór dawnej „Reduty”. Więc co? Więc jak? Przed animatorami i organizatorami kultury, jeśli tacy jeszcze są, stoją wciąż wielkie znaki zapytania.

Jest codziennie taki moment, gdy pierwsza zmiana wychodząc z Polskiej Wełny, spotyka się z wchodzącą zmianą drugą. Jest to wdzięczny temat dla fotoreportera, zwłaszcza w okolicach 8 Marca, gdy cała prasa zajmuje się tzw. problematyką kobiecą. Wdzięczny — bo wchodzi i wychodzą prawie same kobiety. Opowiadał mi pewien emeryt, że nie tak dawno jeszcze w Dniu Kobiet właśnie o tej porze stawała koło portierni orkiestra i grała specjalnie dla pań.

Już nie zagra, bo muzycy gdzieś się podzieli, pogubili się nuty, a podobno ostatnią trąbę sprzedano właśnie Technikum Budowlanemu.



Orkiestra Polskiej Wełny w pochodzie 1 majowym przed paru laty

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

W-110 rocznicę urodzin

Wilhelm Pieck

110 lat temu, 3 stycznia 1876 r. w Gubinie przyszedł na świat prezydent NRD Wilhelm Pieck, syn woźnicy i pracznicy. Jego droga od czeladnika stolarskiego do fotela prezydenta pierwszej w dziejach Niemiec republiki robotniczo-chłopskiej była drogą typową, ale zarazem wyjątkową dla komunistów wszystkich krajów. O komunistyczne ideały i rewolucyjne treści klasy robotniczej oraz młodzieży Wilhelm Pieck zabiegał i walczył przez całe swe życie.

Jako 19-letni chłopiec Pieck podjął decyzję o wstąpieniu do partii socjaldemokratycznej, w której od samego początku reprezentował jej lewe skrzydło. Jako uczeń, a później przyjaciel i towarzyszy walki Karola Liebknechta, Róży Luksenburg, Franza Mehringa i Klary Zetkin — Wilhelm Pieck wyrósł szybko na popularnego wśród robotników i pełnego inicjatywy działacza rewolucyjnego.

W latach 1918/19 był jednym z założycieli najpierw Związku Spartakusa, a następnie Komunistycznej Partii Niemiec (KPD). Reprezentował klasę robotniczą jako poseł w ówczesnym Reichstagu. Po aresztowaniu Ernesta Thälmana w 1933 r. partia powierzyła mu pełnienie obowiązków przewodniczącego KC.

Od 1928 r. W. Pieck był członkiem Komitetu Wykonawczego Międzynarodowej Komunistycznej, W 1943 r. wszedł w skład powstałego w Związku Radzieckim Komitetu Narodowego „Wolne Niemcy”. Na kongresie zjednoczeniowym KPD i SPD w kwietniu 1946 r. wybrany został przewodniczącym Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), a w trzy lata później prezydentem Niemieckiej Republiki Demokratycznej.



Był W. Pieck zarliwym komunistą i internationalistą. Z Polakami łączyła go nie tylko przyjaźń z Różą Luksenburg,

Julianem Marchlewskim i Leonem Jagiełła-Tyszką, ale przede wszystkim wspólny sprzeciw wobec niemieckiego imperializmu i nacjonalizmu, z których to narodził się hitlerowski faszyzm oraz program masowej eksterminacji Polaków i Żydów, komunistów Europy.

W swych przemówieniach W. Pieck podkreślał często, że NRD uważa granicę na Odrze i Nysie za nienaruszalną granicę pokoju i przyjaźni, która nie dzieli, lecz łączy obydwa państwa i narody. Gdy w 1946 r. mieszkańcy Guben nadali mu obywatelstwo honorowe swe go miasta, prezydent NRD powiedział, że Nysa już wkrótce przestanie być granicą w zwykłym tego słowa znaczeniu. I tak też się stało.

— * —

W 110 rocznicę urodzin Wilhelma Piecka — wybitnego męża stanu, rewolucjonisty i prezydenta NRD — w Zielonej Górze Szkoła Partyjna w Zielonej Górze Lubuskie Towarzystwo Naukowe oraz Komitet Miejsko-Gminny PZPR w Gubinie zorganizowały 18 lutego sesję po-

pularno-naukową. Odbyła się ona w sali wystawowej świeżo odbudowanego ratusza gubińskiego.

Na program sesji złożyły się następujące referaty: prof. H. Szczegół — „Rola W. Piecka w ukształtowaniu stosunków polsko-niemieckich po II wojnie światowej”, dr A. Toczewski — „Działalność polityczna W. Piecka w Związku Radzieckim”, tow. H. Ansgore — „Idea W. Piecka urzeczywistniane w NRD”, dr W. Hładkiewicz — „Młode pokolenie w myśli politycznej W. Piecka”, dr R. Pantkowski — „Współpraca zaprzyjaźnionych miast Gubina i Wilhelm-Pieck-Stadt/Guben”.

W sesji uczestniczyła liczna grupa młodszej młodzieży władze partyjne i administracyjne gminy, nauczyciele oraz lektorzy i działacze NSPI z Guben. Po sesji oficjalna delegacja z udziałem sekretarza KMG PZPR w Gubinie tow. Bielaka udała się do Guben gdzie odwiedziła muzeum W. Piecka oraz złożyła kwiaty przed pomnikiem prezydenta NRD.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

sukces uważamy odbudowanie niedawno POP w Jankowicach, w czym wydatnie dopomogli nam mieszkańcy tamtejszej KW PZPR, mechanizator PGR w Kole, Paweł Klimowicz. Nadal zbieramy siły, czemu sprzyjać będzie kampania przedzjazdowa w partii. Jutro będziemy w jednej z tych organizacji.

środa

Wczelnie budzi się cały dom. Maria Swinarska, która kieruje oddziałem o 12 km od Brodów szkołą w Zasielcu, przygotowuje śniadanie dla całej rodziny, on sam rozpał w piecu c.o. Najstarsza córka Renata przygotowuje się do matury i zaliczającej się „studium” w ŁO w Lubsku, w III klasie tego samego liceum uczy się syn Mariusz (jego pasje to szachy i tenis), najmłodszy Przemek, uczeń I klasy, pojeździe z mamą i innymi dziećmi z klas I-IV szkolnym autosem do odległych o 12 km Zasielcu. Szkoła w Brodach pęka w szwach, na całe szczęście trwa jej rozbudowa.

Już po 7.00 wszyscy się rozjeżdżają. My jeszcze przed godziną 6.00 jesteśmy w Komitecie. Tu już czeka na sekretarza interesant z prośbą o interwencję w sprawie lokalizacji pod osadę garażową, bo chce to rzecz naczelnika, to może sekretarz rozstrząsa? W odpowiedzi pada zapewnienie zainteresowania się tymi lokalizacjami, bo takich spraw jest więcej, decyzyjnie jednak należy do Urzędu Gminy. Trzy okazje dowiaduje się, że w całej gminie zamieszkałej przez niespełna 4000 obywateli, 230 z nich posiada samochodów.

Sekretarz, który zawodowo nie rozstał się z szkołą, ma dwie godziny lekcyjne z jęz. polskiego w kl. VI — temat lekcji: „Aniela” Prusa i poezja Rozewicza. W szkole w Brodach w ogóle brakuje polonistów (co najmniej 2) zaś jedyni pracujący w niej w pełnym wymiarze godzin, Paweł Kisiel, znajdował się w szpitalu w Lubsku, gdzie przebywał skomplikowaną operację. Wsparcie więc sekretarza jest bardzo na czasie.

Co się zmieniło od czasu mojego ostatniego pobytu — pytam naczelnika Wacława Oczko? Informuje, że ruszyli po latach staran, w czym wiodącą rolę odegrał KG partii, remonty kapitału mieszkaniowego, a także budowa nowych budynków mieszkaniowych, w tym 10 mieszkań dla nauczycieli. Dobiega także końca rozbudowa szkoły — w sumie 10 nowych i 10 lekcyjnych. Pozwoli to rozwiązać najgorzej palące problemy oświaty w gminie. Uruchomiono także ośrodek zdrowia. Zaczęły dobiegać końca prace przy budowie osiedla, a także dwójka młodych lekarzy — Krystyna Ichniowska, która specjalizuje się w pediatrii i Józef Ichniowski, ginekolog, byli oczywiście mieszkańcami, nadal jednak brakuje stomatologa. Choc „pałacowego cudu” nie będzie — izbie o remoncie zniszczonego pałacu Brunia — jest decyzja o odcinaniu kosztów 200 mln zł, z lunoszą przeciwnością pałacowych oficyn, z przeznaczeniem na ośrodek wychowawczy dla 60 dzieci. Może tu, w tej pałacowej scenie, w otoczeniu pięknego, ale zamkniętego parku nad jeziorem odnajdą część utraconego dzieciństwa? Te sprawy, której patronuje wicewojewoda Kaszyński, władze gminy traktują priorytetowo.

Tymczasem w szkole trwają rozmowy partyjne. Biorą w nich udział: gminny inspektor oświaty, Franciszek Kotowski, dyr. szkoły Józef Leńczuk, Stanisław Swinarski, 1 sekretarz szkolnej POP Stefan Stefaniak, kier. biblioteki szkolnej Krystyna Kapuścińska. W szkole uczy się na 2 zmiany 397 dzieci z kilkunastu wsi, dowożonych szkolnym autobusem. Pracuje 20 nauczycieli, w części też dojeżdżających do pracy. Zajęcia trwają od 8.00 do 17.00. To określa warunki pracy szkoły, praktycznie eliminuje np. zajęcia pozalekcyjne. Szko-

le doskwierają braki kadrowe i co się z tym wiąże — niedostatek mieszkań dla nauczycieli. Na szczęście w tej sprawie jest perspektywa. Wszyscy oczekują zakończenia rozbudowy szkoły. Ale żeby nie było za dobrze, uświadamiają sobie, że mimo rozbudowy, szkole nadal brak będzie sali gimnastycznej z prawdziwego zdarzenia. Zajęcia z WF odrywają się w sali widowiskowej nadbarem GS, do której samo dojeżdżenie do szkoły trwa 15 min. Szkoła POP wspólnie z dyrekcją sugeruje, aby po zakończeniu rozbudowy szkoły przystąpić do budowy sali gimnastycznej, której koszt nader skromnie oblicza się na kilkanaście mln zł. Liczą na społeczną pomoc, tym bardziej, że ze środków społecznych wybudowano w Brodach okazy domy katolickie, w którym min. od bywał się będą zajęcia katechetyczne. Wierzą, że skoro tyle zrobiono dla ucznia, to może także uda się coś zrobić dla ciała wiejskich dzieci? Sekretarz Swinarski obiecuje, że sprawa tej budowy ma szansę znaleźć się w uchwale Konferencji Gminnej PZPR, pod warunkiem, że szkoła sama zechce coś na jej rzecz uczynić, np. gromadząc środki finansowe ze zbiórek surowców wtórnych, nie zależnie od tego, co zdecyduje w tej sprawie społeczeństwo gminy. Trzeba wokół niej tworzyć sprzyjający klimat.

Chlubą szkoły jest mikrokomputer. Pokazują go z dumą. Co z tego, kiedy nie przetłumaczono jeszcze instrukcji korzystania z niego, zaś nauczycielka, która podjęła się pracy z tym tworem elektronicznym, zakwalifikowana została na odpowiedni kurs w Ośrodku Doskonalenia Kadr Nauczycielskich dopiero w kwietniu. Tymczasem, w połowie stycznia br. nadal brak było w szkole podręczników do nauczania chemii w kl. VIII, zaś podręczniki tego samego przedmiotu dla kl. VII nadeszły przed paroma dniami. Na tym całokształtowiśle rola szkolnej POP, nauczycieli — członków partii jawi się szczególnie wyraźnie. Na zakończenie partyjnej rozmowy, w której nie ukrywano problemów, jakie zawsze towarzyszą szkole, bardzo pozytywnie oceniono pracę szkolnej bibliotekarki, która pracując na poddaszu szkoły, uzyskuje nieprzeciętne wyniki: dzieci chętnie czytają, biorą udział w konkursach czytelniczych, rywalizują w czytelnictwie. Cała pochleba!

Przed godz. 15.00 jesteśmy w szpitalu w Lubsku, gdzie odwiedzamy chore



Lutowo-marcowe mrozy sprowadziły w zielonogórskie jakiegoś bliżej nie rozpoznanego wirusa grypy. I chociaż Lekarz Wojewódzki nie ogłosił stanu epidemii, jak to na przykład zrobiono w ośmiennastu województwach, to zwiększona ilość zwolnień z pracy, a także nieprawdopodobny tłok w aptekach świadczyły o tym, iż wirus zbiera obfite plony.

Tymczasem zaopatrzenie naszych aptek jest takie, jakie jest. Dotkliwie brak wielu leków, brak jakiegokolwiek centralnej informacji, gdzie co można dostać, spowodowały, iż kaszający, kichający i mówiący głosem Himilbacha z powodu zapalenia oskrzeli, ludzie z podwyższoną gorączką odwiedzali zielonogórskie apteki z resztkami energii, aby dowiedzieć się, że takiego a takiego medykamentu chwilowo brak, nie wiadomo też kiedy będzie dostawa. Inni sięgali po telefon, wykrecali numery aptek, aby wysłuchać uprzejmie przekazanej informacji o podobnej treści. Telefony wano więc do znajomych, pytając, czy nie mają w zapasie potrzebnych leków, a gdy to nie skutkowało, wielu popadało w depresję, nerwice i stresy.

Dobrze, że w Zielonej Górze — mieście ponad stu tysięcy mieszkańców — jest tylko kilka aptek, więc poszukiwania były z konieczności krótkie, choć bezskuteczne. Ale za to wirus mógł rozwinąć się bez żadnych przeszkód...

Dobrze też, że w wojewódzkim mieście, Zielonej Górze, jest tylko jedna apteka, która prowadzi sprzedaż medy-

Do zobaczenia w szpitalu

kamentów z importu. Dzięki temu wiele pacjentom nie zalecało wędrowki po mieście, do innych aptek, chyba że sami zapragnęli obejrzeć, zupełnie bezinteresownie, jak wyglądała prawdziwa kolejki, nie te małe, jak do stoiska monopolowego w Delikatesach.

Apteka z lekami z importu przy ulicy Chrobrego jest zadbana i czysta a przestrzeń do formowania się kolejek dość obszerna. Dlaczego — kolejki? Odpowiedź jest prosta. Otóż po godzinie czternastej czynne jest tylko jedno okienko, do którego płyną trzy strumienie schorowanych ludzi. Jeden strumień tworzą ci, którzy od lewej strony okienka chcą się dowiedzieć u pani farmaceutki, czy w aptece są leki, zapisane przez lekarzy. Gdy się upewnią, że warto stać, przechodzą do kolejki właściwej, aby tu cierpliwie oczekiwać na dojeżdżenie po raz drugi z receptą do okienka, otrzymać paragon, poczem udać się do kasy i opłacić należność. Następnie z dowodem zapłaty ustawiają się w środkowej kolejce, aby po bliżej nieokreślonym czasie odebrać upragniony lek.

Ale bywają i przykre niespodzianki: — Pani magister, czy jest ten lek? — pyta starsza kobieta.

Pani magister wyraźnie podenerwowana tym obłożeniem, wydaje komuś medykamenty, wypisuje paragony, i po jakimś czasie, zerkając na receptę kobiety, mówi: — Jest.

Kobieta, zadowolona, przechodzi więc do właściwej kolejki. I gdy po godzinie

dostaje się przed okienko, słyszy od pani magister: — Ta recepta jest przeterminowana. Recepty są ważne tylko dwa miesiące.

— Pani magister, ja przyjechałam z Raculi, a tego leku już ze trzy miesiące nie było, więc proszę, niech pani załatwi.

— Proszę iść do lekarza, niech wypisze nową receptę — stanowczo odpowiada pani magister.

— Kiedy ja będę mogła dopiero za dwa dni... — nieśmiało rzecze kobieta.

— To za dwa dni proszę się zgłosić! Tymczasem kaszający, kichający i wycierający pot z twarzy czekają cierpliwie, przyglądając się licznym napisom, zdobitym wnętrzu apteki. Przy kasie — obojętna ulotka, polecająca gło-bulki antykoncepcyjne, gdzieś indziej — niewielkiego formatu anonis o mniej więcej takiej treści: jeśli masz wątpliwości czy urodzić dziecko, zatelefonuj pod taki to i taki numer. To jest Telefon Zaufania, gdzie doradzą ci, byś pozostawiła do niechciane dziecko. Poza tym jest w aptece kilka przytomnych napisów w rodzaju: cisza umożliwi lepszą pracę.

Ale cisza jest tu pojęciem bardzo względnym. Przy okienku z lewej strony staje wysoki młodzieniec, podaje receptę i mówi do pani magister: — Jestem kierownicą ze szpitala, nie obowiązuję mnie kolejki.

— Proszę o dokumenty — słyszy w odpowiedzi.

— Nie mam przy sobie, ale jestem kierownicą ze szpitala — powtarza z uporem młody człowiek.

— Więcej proszę do kolejki — ripostuje stanowczo pani magister.

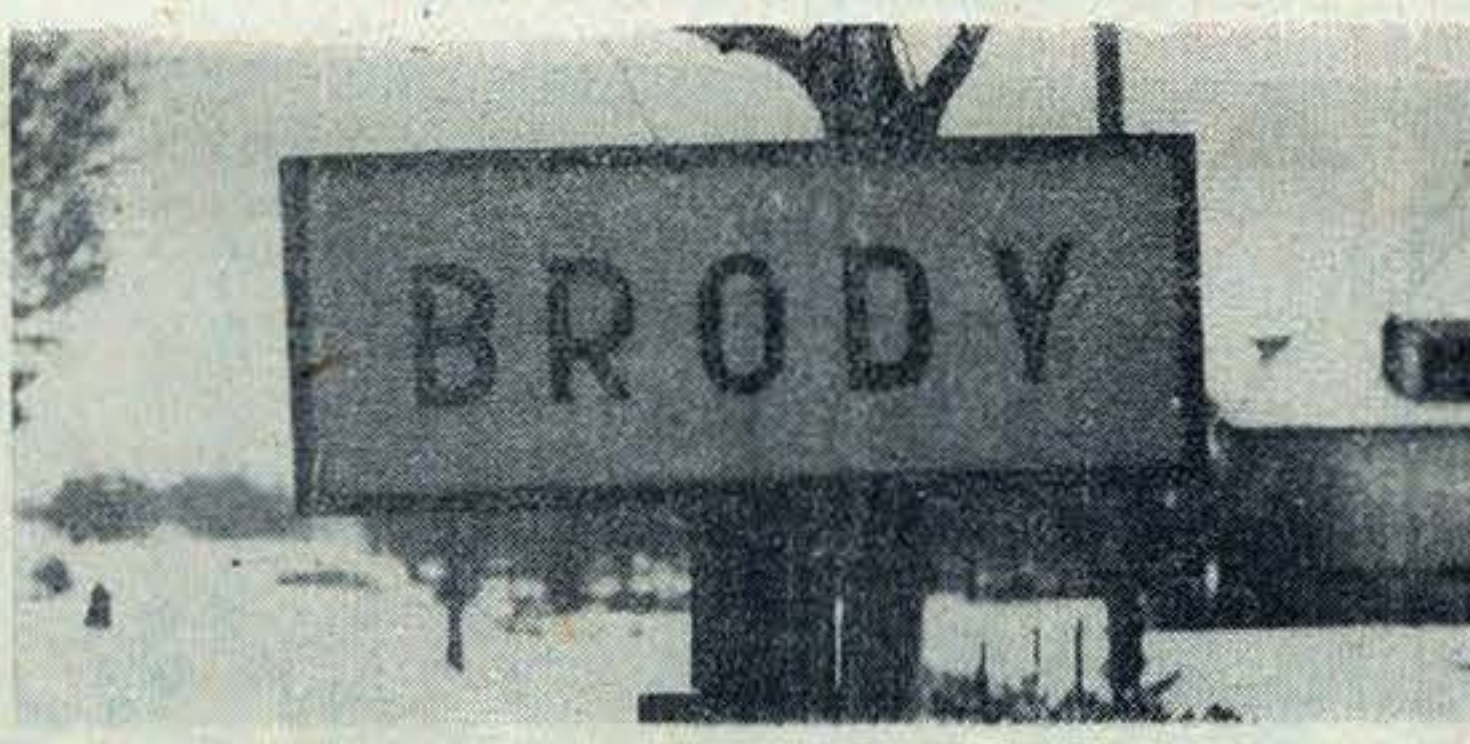
Młodzieniec wyraźnie zawiedziony, bierze receptę i odchodząc, z cynicznym uśmiechem mówi: — Jeszcze się z paną spotkamy w szpitalu...

Tłumem wstrząsa dreszcz gorączki i przerażenia. A ja proszę o Isodinit retard, bo akurat dowiedziałem, gdyby ktoś nie wiedział, na co jest ten lek, uprzejmie informuję: przeciwwątlowy.

A pani magister nie radzę odwiedzać wojewódzkiego szpitala, bo co będzie, gdy się spotka z potencjalnym terrorystą?

KRZYSZTOF KLON

CZTERY DNI Z SEKRETARZEM



go nauczyciela z Brodów, Józefa Kisiela. Przy łóżku chorego rodzina, delegacja młodzieży szkolnej. Sekretarz występuje w podwójnej roli: jako gospodarz gminy i jako szkolny kolega. Pan Józef Kisiel, absolwent polonistyki zielonogórskiej WSP, mówi o powrocie do pracy, wie jak bardzo oczekują go w szkole...

Już późne popołudnie. O godz. 19.00 mamy jeszcze zebranie POP w odległych o 2 km, od Brodów Jeziorach Dolnych. To — dobra pora, już po gospo-

darskim obrządku. Zebranie jest otwarte. Na sali 10 osób, 6 członków partii, w tym sołtyś — Władysław Bielak i sołtyszy z ZSL, Przewodniczy i sekretarz POP Stanisław Rybalek, leśnik, znany nie tylko w Brodach twórcą ludowy. Obecni są także: 1 sekretarz KG Stanisław Swinarski i opiekujący się z ramienia egzekutywy KG tą organizacją Adolf Wysocki, komendant posterunku MO w Brodach.

Rybalek omawia działalność POP, a Swinarski przedstawia aktualne sa-

dania partii. I na tym to odbywa się dyskusja, w której sprawy w skali gminnej mieszają się z lokalnymi ale zawsze sięgają gruntu wsi, idzie o opłacalność produkcji rolnej, znowu spada hodowla bydła, a mleczarnia komunalna z klasyfikacją mleka. Ile kosztuje butelka mleka a ile piwa? To na dłuższą metę jest nie do utrzymania, bo wiesz wyłudnia się, są w okolicy wioski, w których żyją już tylko same kobiety. Trzeba tworzyć lepsze warunki życia na wsi. W Jeziorach nie ma sklepu, co to za niewygoda. Jest konkretny wniosek POP: wiesz deklaruję 100 tys. zł na adaptację lokalu na ten cel i kandydatkę na sklepową. Idzie także o przedłużenie linii autobusu Lubsko—Brodów do Jezior, sporo ludzi dojeżdża stąd do pracy. Co z tym alkoholizmem — doszło już do tego, że ko-biet z Kumiłowic wymogli sprzedaż alkoholu w swojej wsi. Jak się chlapi chcą upijać, to niech piją na miejscu, przynajmniej nie będą płacić mandatów, bo do domu blisko.

Sekretarz Swinarski porządkuje; nie długo w Kole odbędzie się spotkanie z posłem Dębowski z Lisiej Góry, radzi, aby te sprawy najważniejsze jemu przedstawić. 20 marca odbędzie się Konferencja Gminna PZPR, to także będzie forum dla ich omówienia. Część spraw, a zwłaszcza sprawę sklepu, rozważy najbliższa egzekutywa KG. Inne wymagają odrębnego trybu załatwienia. Sugeruje, że aby ułatwić załatwienie tego autobusu, należałoby wyremontować drogę z Brodów do wsi, podobnie jak zrobiono to z drogą do pobliskiego Suchodolu. To zbliża do światła Podkreśla, że POP musi nadal być motorem wszystkich pozytywnych zmian we wsi.

Zebranie kończy się i dopiero teraz możemy rozejrzeć się po pięknej, świeżo wyremontowanej sali, jakiej nie ma w Brodach. — Jak mówi sołtyś Bielak, to także inicjatywa POP i Rady Sołeckiej.

Wracamy do Brodów. Po drodze odwiedzamy przewodniczącego Rady Gminnej PRON inż. Lucjana Gołczyka, emerytowanego ichtiologa. Mieszka na skraju Brodów, w Jeziorach Górnych, w domu ze starego, pachnącego drewna, o oryginalnej architekturze. W chałupie niesamowicie zimno, z braku węgla. W c.o. drzewem palić nie można. Trudno bez kielicha się porozumieć. W domu refleksja sekretarza: „Tu — jeśli byś nie był wśród ludzi, niczego byś nie dokonał”.

czwartek

Pobudka o 5.00 rano, bo o 7.00 musimy być na zebraniu POP w Kole. Tu praca narzuca czas zebrania.

Zebrała się prawie cała załoga PGR. Zebranie jest otwarte, co jest już prawie tradycją. Otwiera je i wita wszystkich 1 sekretarz POP, brygadziasta, Sylwester Burdelski. Na wstępie uroczysta chwila: sekretarz Swinarski wręcza jednemu z traktorzystów, Ryszardowi Tarnowskiemu legitymację kandydata PZPR. Podkreśla wagę tego wydarzenia w życiu młodego człowieka, mówi, że partia musi się rozwijać, także tu, u nich. Wysocki ocenia dorobek POP. Wyrazem uznania jej roli w życiu gminnej organizacji partyjnej jest

piątek

O godz. 11.00 posiedzenie egzekutywy KG. W programie m.in. ocena wspól-pracy z ZSL, ustalenie harmonogramu działań w kampanii przedzjazdowej, powołanie zespołu ds. rozmów partyjnych, przydział bieżących zadań członkom egzekutywy, omówienie sytuacji w gminnej organizacji ZSMP, z uwzględnieniem programu trwającego w dniach 20-30 stycznia dekady kol ZSMP. Wnio-ski.

Zaczyna się gorący okres w działalności całej gminnej organizacji partyjnej. Ale czy kiedykolwiek jest tutaj inaczej?

WIESŁAW NODZYŃSKI
Fot. BRONISŁAW BUGIEL



Prawykonanie utworu J. Karcza

Tegoroczny obchodem 41 rocznicy powrotu stolicy środkowego Nadodrza do Macierzy towarzyszyło wiele imprez artystycznych. Z tej okazji Filharmonia Zielonogórska przygotowała specjalny koncert symfoniczny. Wykonano utwór Piotra Perkowski. „W stronę Ałmy”, na orkiestrę smyczkową, perkusję i fortepian, dedykowany Karol-

owi Szymanowskiemu. Kompozytor nawiązał w nim do tradycji tatrzańskiej, zachowując środki typowe dla muzyki góralskiej, charakterystycznej w twórczości Szymanowskiego. Orkiestra pod batutą Szymona Kawałi wykazała dużą umiejętność różnicowania nastrojów, począwszy od motorycznych napięć aż po liryczną kantylenę.

Tradycja Filharmonii Zielonogórskiej stała się prezentowaniem dorobku twórczego kompozytorów zielonogórskich. Podczas tego koncertu odbyło się właśnie prawykonanie „Concerto grosso” Juliusza Karcza, adiunkta w Instytucie Wychowania Muzycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, laureata konkursów kompozytorskich, a także przewodniczącego Sekcji Kompozytorskiej Lubuskiego Towarzystwa Muzycznego. „Concerto grosso” J. Karcza napisał z okazji 30-lecia orkiestry symfonicznej Filharmonii Zielonogórskiej. Przypominamy, że w lutym 1956 r. utworzono Orkiestrę Symfoniczną. W 1974 r. orkiestra została przemianowana na Filharmonię Zielonogórską, przyjmując w 1982 r. imię Tadeusza Bairda.

W „Concerto grosso” na czterech solistów i orkiestrę symfoniczną zasada koncertowania łączy się ściśle z planem architektonicznym utworu.

W części pierwszej, bardzo motorycznej, melomani mieli okazję usłyszeć Zdzisława Piernika w znakomitym po-pisie gry na tubie. W części drugiej, znacznie spokojniejszej, partie solowe zostały powierzono skrzypcom. Zarówno Dorota Śluda jak i Jarosław Żołnierczyk wykazali duże umiejętności techniczne oraz świetne wyczucie współczesnego brzmienia. Po trzeciej, marszowej części z udziałem wszystkich solistów, część czwartą, zarazem finałową uświetnił Narcyż Żołnowski. Jego kadencja wiolonczelowa obfitowała w wiele popisów technicznych. Utwór Juliusza Karcza, pomimo znacznej różnorodności brzmienia oraz wszystkich komplikacji typowych dla muzyki współczesnej, jest wyjątkowo zrozumiały i bezpośredni. Świadczy to o wysokich walorach estetycznych utworu i dobrym smaku artystycznym jego twórcy.

Na zakończenie koncertu orkiestra symfoniczna wykonała monumentalne dzieło J. Brahmsa — I Symfonia c-moll. Utwór ten stawia przed muzykami spore wymagania techniczne, jak i wymaga umiętności gry zespołowej, w czym filharmonicy zielonogórscy wykazali się w pełni. Zapewne wielką w tym zasługą dyrektora Szymona Kawałi, który swą silną osobowością artystyczną, wyczuciem stylu oraz umiejętnością tworzenia własnej, oryginalnej wizji dzieła, uczynił je niezwykle interesującym w odbiorze.

RENATA KOWALSKA
GRAZYNA WIŚNIEWSKA

rym od 1951 roku, dokonał tysięcy operacji chirurgicznych, pracą swoją budując jego sławę, bywać zaczął tylko w stołówce, na emeryckich obiadkach.

4.

Płonęła Lubogóra. Województwo zielonogórskie strajkowało.
— Szczerze opuścił nasz okręt! — krzykli ci, na lewo od których jest już tylko ściana. — Trzeba odebrać Wieruszowi wszystkie ordery. — Walili pięścią w stół Komitetu Miejskiego PZPR. Dzieciła choroba lewicowości na szczęście nie znalazła szerszego poparcia.
— Spokojnie, towarzysze, spokojnie!

Pławienie w zielonym świetle

Rehabilitacyjnym, jako doradcę, konsultanta, jako symbol sławy, jako nosiciela myślenia humanistycznego. Niestety nie mieliśmy, ani też nie mamy wpływu na politykę kadrową służby zdrowia. Realizuje się ją za naszymi opiniami i plecami. To skandal, że tak wielkie doświadczenie zawodowe, jakie ma doktor Wierusz, w sensie społecznym jest nie wykorzystane.
— Wierusz? A co to za jeden? Pewnie sprzed potopu.

W ten sposób niejeden młody lekarz z Lubuskiego Ośrodka Rehabilitacyjnego próbuje odciąć się od zbytecznego ciężaru tradycji. Opinie z gabinetów młodych medyków, przed którymi cała przyszłość zawodowa jest otwarta, trafiają do miasta. Na kopniaki w kostkę Wierusza zaciskają zęby w Komitecie Miejskim. Zaciskają zęby opinia publiczna.

W hallu Wyższej Szkoły Inżynierskiej zorganizowano w lutym 86 r. wystawę dorobku uczelni. W gablotach leżą

dziesiątki podręczników, skryptów, prac naukowych napisanych i wydanych w Zielonej Górze. Dorobek Wydziału Mechanicznego prezentują przede wszystkim świadectwa patentowe na różne generacje rozporów. O kolejnych udoskonaleniach swego pomysłu dr Lech Wierusz nawet nie wie. Ale na wszystkich świadectwach jest jego imię i nazwisko, obok docenta dr hab. Kazimierza Bącala. Świadectwa wydały urzędy patentowe w Związku Radzieckim, Stanach Zjednoczonych, Republice Federalnej Niemiec, Kanadzie, Niemieckiej Republice Demokratycznej. Zastrzeżenia patentowe opłacone zostały przez Polservice lub Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Z Polservice są informacje, że brak jest środków dewizowych na strzeżenie polskiej myśli technicznej poza granicami kraju. A szansa na eksport doniosła się rozpoczynając. Kilka komitetów rozporów zawędrowało do NRD. Wzbudziły duże zainteresowanie, choć potrzeby rynku krajowego są niezaspokojone. Rozpórki Harringtona są na liście embarga prezydenta Reagana. Koszt jednego kompletu 15 tysięcy dolarów. Bez rozporów W-B, metody operacyjnej W-B, prostowanie skrzywionych kręgosłupów, leczenie ciężkich urazów jest już dziś w Polsce niemożliwe. W kraju dokonuje się rocznie ok. 1.200 zabiegów operacyjnych, których skutkiem jest znaczna poprawa zdrowia, lepszy los ludzi ciężko doświadczonych. Producentem rozporów pierwszej generacji — chwala mu za to — jest Zakład Usług Technicznych Regionalnego Związku Spółdzielczości Inwalidzkiej. Zaspokaja potrzeby klinik i szpitali tylko w pewnym stopniu. Eksport — nawet na potrzeby Niemieckiej Republiki Demokratycznej — zubożyłby rynek. Nie wolno do tego dopuścić. Zakład powiada, że nie dysponuje środkami na zakup licencji na udoskonalanie wynalazku, choć

koszt opłaty wyniosłby cenę jednego kompletu! Chce być omylony bez stłuczenia skorupki jajka. Do produkcji rozporów przemierzyła się pewna firma polonijna. Zapoznała się z potrzebami. Zakup odpowiedniego parku maszynowego, kilku klasycznych obrabiarek, zatrudnienie rzemieślników z wynagrodzeniem 50 tysięcy złotych miesięcznie, nie odstraszył jej. Wielkość produkcji zaspokajająca zapotrzebowanie służby zdrowia, przy obecnych cenach rozporów, dałaby czysty zysk wynoszący pięć milionów złotych. Jest to zysk zbyt skromny jak na aspiracje firmy polonijnej.

8.

Minister Benon Miśkiewicz ostatnio odwiedził Wyższą Szkołę Inżynierską im. Jurija Gagarina. Obejrzał gmachy, sale wykładowe, laboratoria. I odetchnął z ulgą Ministerialne zestawienia i analizy plusujące zielonogórską uczelnię wysoko, okazały się prawdziwe. Nie kłamały. Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego stwierdził, że ranga uczelni rośnie przez rozwijanie oryginalnych kierunków badawczych. Jest to zielone światło zapalone dla rozwijania techniki implantatów. W Polsce nie znajduje się tym nikt.

9.

Gabinet doc. dr habilitowanego Kazimierza Bącala nie jest pomieszczeniem, gdzie pracuje typowy mechanik. Stoi model kręgosłupa. O szafę oparto plany z fotografiami ilustrującymi różne nieszcześcia ludzkie. W szufladzie zaproszenia na konferencje naukowe chirurgów-ortopedów. Ostatnie zaproszenie dotyczy referatu na konferencję w Nowej Soli. Po prostu zabrakło 12 tysięcy złotych na opłacenie referatu naukowego go sławy stołecznej chirurgii. W ten sposób przypomnieli sobie o istnieniu Bącala.

— Mogłby pan to zrobić? — pytają polscy chirurdzy po zagranicznych stażach klinicznych. Dołączają do listów katalogi, rysunki. Pan jeden to potrafi.

Rzeczywiście potrafi. Na konferencji w Szczecinie, chirurdzy z Akademii Medycznej zarzili Bącala ideę operacyjnego leczenia złamanych kręgów szyjnych. Odpowiedni implantat leży na biurku. Z Niemieckiej Republiki Demokratycznej przyszła propozycja wspólnych badań nad leczeniem stanów zapalnych kręgosłupa.

— Patrzę na inwalidztwo oczyma Wierusza, będąc mechanikiem. Widzę parę plekików. Chcę zwiększyć ich możliwości ruchowe. Mam pomysł pewnego urządzenia teleskopowego, rozsuwającego się w miarę rośnięcia dziecka. To byłaby rewelacja na skalę światową. Gdyby je jeszcze dopisały pieniądze.

10.

— Jak spełnia się człowiek? Dziś bez partyni Budowniczy Polski Ludowej, który złożył legitymację partyni nie wytrzymałby ciśnienia historii, i sam odpowiada: przez służbę dla innych ludzi, choć oni nie zawsze to doceniają.

— Jak realizuje się człowiek? — zastanawia się członek PZPR Kazimierz Bącal. — Tylko przez twórczą pracę. Obaj, ten sam tandem.

RYSZARD ROWIŃSKI



Dr Lech Wierusz — tysiące operacji

Zimna jesień 81 była gorąca. Odbił się chłopski zajazd na pegeerowskie pola w Glińsku — pierwszy strzał w słynnym strajku o Lubogórę. W fabrycznych halach robotnicy wrzucali legitymacje partyni do specjalnych śmietniczek. Niekiedy szli do komitetów, oddawali legitymacje tym, od których je otrzymali. Doktor Lech Wierusz, dyrektor Lubuskiego Ośrodka Rehabilitacyjnego w Świebodzinie, złożył legitymację sekretarzowi Podstawowej Organizacji Partyni. Jemu też wyraził swoje rozczarowanie dla polityki partyni. Było to już po IX Zjeździe.

Była to duża strata dla partyni. Odszedł z niej człowiek, który szła chirurgii uwalniał ludzi z niewoli inwalidzkiego wózka, pozwalał innym chodzić bez kul, prostował kręgosłupy skrzywione przez naturę lub los. Zrezygnował też z funkcji społecznego w Towarzystwie Przyjaciół Ziemi Świebodzińskiej. W Lubuskim Ośrodku Rehabilitacyjnym, w któ-

5.

Na pierwszym piętrze domu przy placu Browarnianym, w mieszkaniu z dużą, niklowaną tabliczką na drzwiach, dr Lech Wierusz słuchał Mozarta i zastanawiał się nad pytaniem, czy istnieje Bóg. Bo w coś człowiek wierzyć powinien.

— Za całą polityczną przeszłość, na dziś pozostało myślenie kategoriami racjonalizmu, jak chcecie miarami marksizmu. Od nich odejść się nie da. Bez tych pryncypiów świat stanie się zupełnie nieczytelny. — Tak mówił doktor do przyjaciół i uczniów, którzy przy nim pozostali.

6.

Z okazji 40-lecia powrotu Ziemi Zachodnich do Macierzy Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Świebodzińskiej zor-



Doc. Kazimierz Bącal — nowa specjalność: implantaty

lem a boku Poli Raksy radzieckiego fizylera.

— Czy mógłbyś sprzedać którąś z tamtych filmowej kuchni?

— Nie każdy o tym wie, że psy były dwa — Szarik i Szarikowa. Szarikowa była mniejsza, ale znakomicie tropiła. Szarik był dobry w walce z psami i w konwencji różnych cyrkowych zadań.

— Pochodzisz ze Słupska, ale nie zagrzebałeś tam miejsca zbyt długo.

— To prawda, pracowałem w teatrach Słupska, Kalisza, Bielska-Białej, Rzeszowa i Zielonej Góry. Okres zielonogórski uważam za najlepszy w moim aktorskim żywocie. Dziewięć lat pracy ze wspólnymi kolegami w dobrym teatrze, o tym się nie zapomina. Szczególnie ciepło wspominam Zdzisława Grudnia i Zdzisława Giżejewskiego, zawsze ze wzruszeniem myślę o wspólnie układającej się współpracy z Józefem Michalciewiczem. Żyło się wtedy w zupełnie innym tempie i ciekawie. Pod komendą Haliny Ańskiej z „Nadodrza” robiliśmy zupełnie niezły kabaret. Tak, to były wspólnie czasy!

— Czy przeminęły bezpowrotnie?

— Minęło wiele lat, w trakcie których wiele wydarzyło się w kraju, a co za tym idzie i w życiu kulturalnym. Na popremierowym bankiecie wszyscy zaszli przy wspólnym stole, nie było

takich wyraźnych podziałów w zespole jak dziś. Dwadzieścia lat temu telewizja raczkowała i teatr w mieście pełnił bardzo istotną, kulturotwórczą rolę.

— Jaka jest obecnie sytuacja tzw. aktorów prowincjonalnego i prowincjonalnego teatru?

— Ktoś powiedział: „Nie ma małych ról — są mali aktorzy”. Trawesując to powiedzenie można stwierdzić, że nie ma małych teatrów, są tylko mali aktorzy. Najistotniejszymi elementami teatru są aktorzy i publiczność. Publiczność teatralna uległa w ciągu ostatnich dziesięcioleci przeobrażeniom. Kiedyś bywanie w teatrze należało do dobrego tonu, było pozytywnym snobizmem. Obecnie do dobrego tonu należy wypowiadanie się o teatrze i sztuce a priori. Warszawa, panie... A jak się okazuje w stolicy życie teatralne wcale nie prezentuje się zbyt wesoło, dowiódł tego Tomasz Raczek w ostatnich numerach „Polityki”. Na Górnoskowskich Spotkaniach Teatralnych spotykano widzów, którzy wcześniej nie zaszczycali teatru swoją obecnością. Były operetkowa chała z trzecim garniturem artystów, ale z Warszawy, ściągając więcej widzów niż dobra sztuka przygotowana w rodzimym teatrze. Wnioski nasuwają się same. Jeśli chodzi o kondycję polskiego aktora, to niech komendantem będzie fakt, że jesteśmy najtańszymi aktorami na świecie. Ale ta sytuacja nie usprawiedliwia moich kolegów, różnych wewnętrznych i zewnętrznych emigrantów. Po moim egzaminie aktorskim, a było to bardzo dawno, profesor Korzeniowski zwrócił się do nas tymi słowami: „Jesteście aktorami, inżynierami

ludzkich dusz, niech za waszym pośrednictwem polskie słowo płynie ze scen teatrów do polskiego widza”. Poryciliśmy się wszyscy. Za zebrane pieniądze kupiliśmy profesorowi bukiet wspólnych róż.

— Nie masz już dość tulaczki po Polsce?

— Czasem. Najgorsze są przeprowadzki. Ale zawsze traktuję swój nowy angaż jak przygodę, gdy czuję, że zbyt długo siedzę w jednym mieście, biorę mapę i patrzę, gdzie jeszcze nie byłem.

— Od czego zależy czas pobytu aktora w jednym mieście?

— To jest bardzo złożona sprawa. Trzeba spodobać się dyrektorowi, kolegom, publiczności i odwrotnie. Najprostszą drogą do spełnienia tych warunków jest zaistnienie na scenie, wykazanie się zawodowymi umiejętnościami.

— Próbuje obecnie sztuki Marlowa, jesteście po pięćdziesiątym przedstawieniu „Krakowiaków i Górali”, zielonogórski teatr wystawił „Wyzwolenie” Wyspiańskiego, a gdzie miejsce na nasze dzisiejsze problemy, bo przecież klasyki nie złatwiają wszystkich?

— To pytanie do kierowników artystycznych i dramaturgów.

— Które z miast, poza Zieloną Górą, wspominasz najlepiej?

— Trudno zdobyć się na jakieś cenzury. Każda taka opinia będzie uzależniona od czasów, w jakich dane mi było przebywać w danym mieście. Okres zielonogórski był czasem mojej młodości, a jednocześnie świetnymi latami teatru, początek pracy w Gorzowie zbiegł się z okresem najostrzejszego kryzysu, z którego teatr im. J. Osterwy wyszedł jednak obronną ręką.

— Nie sposób rozmawiać z aktorem nie wspominając jego rolę. Pamiętam, że widziałem ciebie jeszcze na zielonogórskiej scenie w „Lesie” Ostrowskiego, jako okrutnego Beduina w inscenizacji „W pustyni i w puszczy”...

— Był też Jasiek w „Weselu”, w którym grali m.in. Hilary Kurpanik, Zdzisław Grudzień, Ireneusz Karamon. Z ostatnich ról najbardziej sobie cenię Smarkula w „Chłopcach” Grochowiaka. Była to trudna rola, ale bardzo dobrze napisana.

— O aktorach opowiada się przeróżne historie, powiada, że to plotkarze itd.

— Wierutne kłamstwo! Ale tak na marginesie, to chciałem ci powiedzieć, że ci dwaj panowie to są...

Rozmawiał PIOTR PIOTROWSKI



NIE MA MAŁYCH TEATRÓW — SĄ MALI AKTORZY

ROZMOWA Z WALDEMAREM KWAŚNIEWSKIM, AKTOREM TEATRU IM. J. OSTERWY W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM.

— Kolejny raz gościśmy w naszych domach sympatyczną załogę czołgu „Ru dy” i ich psa. Miałeś również pewien udział w stworzeniu tego udanego serialu.

— „Pancernych” nakręcono dwadzieścia lat temu, ale mimo takiej cezuryczasowej i skromnej roli, którą gram w tym filmie, odczuwam sporą satysfakcję, gdy jestem rozpoznawany przez znajomych i teatralną publiczność. Gra-

25 MARCA - ŚWIĘTO NARODOWE GRECJI

Grecję znamy głównie z jej liczącej ponad 4 tysiące lat historii i wspaniałej kultury. Pociągają nas uroki klimatyczne i krajobrazowe. Rządźmy myślimy o jej dramatycznej i bardzo złożonej historii. Po latach starożytnej świetności przez wieki zależała ona od polityki wielkich mocarstw. Od 1453 do 1821 r. Grecja wchodziła w skład Imperium Tureckiego. W wyniku wojny niepodległościowej (1821-29), dzięki pomocy W. Brytanii, Rosji i Francji uzyskała niepodległość.

Na narodziny ruchu wyzwolenieckiego w Grecji wielki wpływ wywarła Rewolucja Francuska i zwycięstwo Rosji w wojnie z Turcją (1806-1812). Powstawały wówczas heterie, tajne organizacje wolnościowe. Jedną z nich Filiki Heteria powstała w Odessie. Jej celem było przygotowanie warunków do powstania narodowego w Grecji.

W latach 1817-18 konspiracyjna działalność Towarzystwa dotarła do Greków w krajach bałkańskich i w Grecji kontynentalnej. Kierowniczą funkcję w przygotowywanym powstaniu objął książe Al. Ypsilanti. Jednak przeważające siły wojsk tureckich załadły greckim powstańcom w Moldawii miazdzące ciosy i powstanie upadło.

O świcie 25 marca 1821 r. metropolita Germanos, członek Heterii Filiki pro-

klamował wybuch ogólnonarodowego powstania, które trwało aż 10 lat. Po wyprawie Turków z Peloponezu, dnia 13 stycznia 1822 r. Zgromadzenie Narodowe proklamowało w Epidavros niepodległość Grecji i uchwaliło pierwszą konstytucję narodu greckiego. Turcy w odzew odpowiedzieli masowymi rzeziąmi Greków, szczególnie na Krecie, Chios i innych wyspach. Z niesłychanym okrucieństwem pastwili się nad powstań-

Gdy siły powstańcze Greków zaczęły słabnąć, flota trzech państw Rosji, Francji i Anglii rozbiła w 1827 r. woj- ską turecko-egipską pod Navarino. Ostatecznie o losach Grecji zdecydowała wojna rosyjsko-turecka w latach 1828-29, zakończona traktatem adrianopolskim przewidującym utworzenie autono- micznego państwa greckiego. Dnia 3 lu- tego 1830 r. londyńska konferencja trzech

kie było otwartym wyzwaniem rzuc- onym nie tylko sułtanowi, ale również sprzymierzonym władcom Europy, bro- niącym „boskiego ładu”, który miał trwać po wieczne czasy.

Z ochotników z wielu krajów utwo- rzono regularny, umundurowany i uzbro- jony po europejsku batalion filhellenów. Wśród nich był sławny poeta angielski lord Byron. W jego oddziale znajdowali się także Polacy, byli oficerowie Księ- stwa Warszawskiego. Zachowały się szty- chy z tamtych lat, a na nich wśród po- wstańców kilku narodowości oficer w rogatywce oraz ulani z oddziału Da- browskiego.

czając tysiące niebezpieczeństw i prze- szkód ciągnęło, aby walczyć o wolność Grecji. Jednym z nich był Józef Mate- usz Karnowski, który towarzyszył Al. Ypsilantiemu, na czele 70-ciu polskich ulanów. Innymi polskimi oficerami, którzy dzielili los Ypsilantiego, byli Or- nowski (oficer kawalerii) i Żurawski (adjudant Ypsilantiego, po wkroczeniu do Moldawii). W oblężeniu Trypolisu brał udział Midowski (oficer artylerii). Obroną Missolongi dowodził płk Jan Dzierżawski-Lech w bitwie pod Petą w 1822 r. walczyli: Kukawski, Denko- wski, Kuczewski, Kierszowski, Zosodro- wski i inni.

Babis Aninos w artykule „Filellino- wie” tak pisze o Polakach spod Pety (zginęło ich tam 12): „Powstańcy polscy i kilku innych cofnęli się do malej ka- plicy we wsi, wdrapując się na jej dach. Walczyli stamtąd kamieniami i kawał- kami drzewa, później gęstymi rękami i zębami, ponieważ ich broń uległa znisz- czeniu”.

Mirszewski, który poległ pod Petą, po- wiedział: „Zginąć w walce dla tej świę- tej ziemi albo stać się obywatelom jej wolności”. Robert Bronikowski zginął w Chalkis w 1853 r. w stopniu majora, pe- niąc powinność komendanta stolicy E- bei. W ataku na Janinę w 1897 r. brał udział pułkownik Smoleński, a w 1911 r. pułkownik Zygmunt Mineyko (dzia- dek obecnego premiera Grecji Andre- asa Papandreu). Profesor Strassburger podaje: „Pisząc o Ypsilantim, nie można pominąć pięknej Polki, Julii Wąsowicz- mowej 17-letniej dziewczyny. Zgodnie ze świadectwem współczesnych, Julia podzieliła miłość bohatera wolności, wadze sprawy cenniejszej przez niego w- ciej od ukochanej Polki”.

Symbolem przyjaźni polsko-greckiej jest pomnik Polaków w Missolongi z 1939 r. U stóp stylizowanego w marmu- rze polskiego orła widnieje napis: „1826 Za Grecję i Polskę”. Co roku Missolon- gi przeżywa swój wielki dzień. W ro- cznicę wysadzenia się w powietrze wra- z wrogami obrońców twierdzy, odbyw- się barwny festyn połączony z manife- tacją patriotyczną.

W latach 1897-98 w powstaniu „anti- tureckim na Krecie” byli Polacy z 18 p- ku rosyjskiego, powołani do służby carskiej armii. Na małym cmentarzu, Retimnonie zachowało się 18 grobów polskich m.in. F. Majewskiego, J. Cz- neckiego, G. Brzanowskiego i innych. Na pamiątkowej kolumnie w Naup- wyrte są nazwiska Polaków (wśród filhellenów innych narodowości) po- głych za wolność Grecji. Oto ich naz- wa: Dąbrowski, Dierelski, Denkowski, Kuczewski, Kucowski, Leski, Les- czyński, Miwidowski, Molodowski, O- wowski, Pomorski. Nazwiska te są tr- chę zniekształcone, ponieważ pochod- ze źródeł greckich. Również wywiesz- na w Ateńskim Muzeum Historycznym lista zawiera nazwiska niektórych P- laków.

Wielu Polaków przelewało swą kr- w w walce o niepodległość Grecji. Od o- zenia Missolongi, aż po działalność r- zego Iwanowa-Szajnowicza, słynny agenta nr 1, Polacy na ziemi greck- udowodnili swoimi czynami raz jesz- jak żywe było hasło „za Waszą i na- wolność”.

CENNIEJSZA NIŻ ŻYCIE

Mieczysław Wojecki

cam. Trupom wrywano zęby, obci- nano uszy, które układano w beczkach i solono. Tak zakonserwowane przesy- lano w „darze” sułtanowi. Na przykład na wyspie Chios, w kwietniu 1822 r. ofiarą Turków padło 23 tysiące mę- żczyzn, a 47 tysięcy kobiet i dzieci sprze- dano w niewolę.

moceństw oficjalnie ogłosiła niepodleg- łość Grecji.

Bohaterskie czyny powstańców greck- ich w latach 1821-30, walczących z przeciwnikiem wielokrotnie silniejszym od siebie, ich wytrwałość i męstwo zys- kały podziw i czynne poparcie postęp- wych sił całej Europy. Powstanie greck-

Jaki był wkład Polaków w walkę o niepodległość Grecji?

Fakty dowodzą, że XIX-wieczne spo- łeczeństwo polskie udzieliło dużego po- parcia sprawie greckiej.

Źródłem polskiego filhellinizmu są Le- giony Dąbrowskiego, skąd wyszło wielu późniejszych Filellinów. Polacy z tych legionów z pomocą Francji, próbowali stworzyć na Wyspach Jońskich republi- cę polsko-grecką, gdyż wierzyli w jed- ność dwóch uciśnionych i ujarzmio- nych narodów. Polscy filhellenowie wal- czyli u boku Greków w każdej z wojen od 1821 r. Bardzo wielu Polaków, zwa-

Jorgos Seferis

DŹWIĘKI

Ten dom zapelniał się dźwiękami uderzając jak stare zegary zadyszane. I te lata

gdzie jesteśmy gdy uderzają ale i gdy milczą bo nie mają nic do powiedzenia

Coś niecoś usłyszałem w Pilio gdy głośno upadła wskazówka wśród nocy. Lecz ten liść

przeznaczenia teraz go podnieśliśmy i nas poznają i was poznajemy z tych z północy jesteśmy

tych czarnych z południa którzy mają ciało bez mądrości i którzy krzyczą tak jak cierpią

I ja cierpię i wy cierpiecie nikt nas nie zawoła i przędą w milczeniu, dlaczego

mechanizm jest przyspieszony w sześciu i pogardzie w śmierci i w życiu

Dom zapelniał się dźwiękami.

Preforia, 16 stycznia 1942 roku

LIŚC Z LEFKAS

Drżał tak bardzo, by nie porwał go wiatr
Drżał tak bardzo, gdy go porwał wiatr
poleciał daleko
nad ogromnym morzem
ku malej wyspie na słońcu
i ręce ścisnące wiosła
omdlewające w godzinie pogrzebu portu
i oczy zamknięte
na morskich powiekach złożono zawiłce

Bał się tak bardzo
a tak go o to serdecznie prosiłem,
aby pola eukaliptusowe kwitły
i wiosną i jesienią
Wszystkie gołe drzewa przystroję liśćmi
Boże mój o ciebie proszę

Panos N. Panayotounis

JAK UMRA...

W ich skrzywione usta włożono hostię
teraz przegładają się nadzy
w lustrze attyckiego słońca,

ślady ich twardych podeszew
głęboko ukłwły w Kasariani w Grecji
na ulicy Skopewitriou.

W maju, gdy rozchylają się liście
kwiatów, ich nazwy odgadują
w Imittio, ptaki stamtąd
śpiewają

Ogień wymienia szepem ich imiona
pośmiertnie!

Z greckiego przełożyła Donata Konusz-Wolska

Kraj nam bliski

Michał Horowicz

Pisał na naszych łamach w swoim po- ślaniu z okazji „Dni Kultury Greckiej” w Zielonej Górze ambasador Republiki Greckiej w Polsce Leonidas Evange- lidis: „Im lepiej znam Polaków, tym lepiej rozumiem swoich rodaków. W na- szym procesie historycznym byliśmy wspólnie przez wiele wieków narodami — nie będąc państwami. Jest to do- wód na siłę naszego narodowego cha- rakteru i intensywność naszej narodo- wej tożsamości... Jako narody często powstawaliśmy, mobilizowaliśmy się, wygrywaliliśmy lub byliśmy pokonywani, nigdy nie poddawaliśmy się. Dla nas, za- równo jak i dla Was, pojęcie narodu nie jest związane z agresywnością... Wspólnym elementem naszych spuścizn jest chęć kontaktów, radość ze spotkań, wymiana wartości i doświadczeń”.

Wizyta premiera Republiki Greckiej Andreasa Papandreu w Polsce — w październiku 1984 roku, była niewątpli- wie bardzo ważnym wydarzeniem w roz- woju stosunków polsko-greckich, opar- tych na wzajemnym zrozumieniu i szan-unku oraz dążeniu do współpracy za- równo we wspólnym interesie, jak i w imię pokoju na świecie. Stąd jej istot- ne znaczenie nie tylko dla naszych kon- taktów bilateralnych, ale i w skali mi-ędzynarodowej. Rozmowy toczyły się bo- wiem (obok dążenia do zacieśniania wza- jemnych stosunków) wokół problemów rozbrojenia i umacniania procesu od-

preżenia, zapoczątkowanego w Helsin- kach, Konferencji Sztokholmskiej i in- nych wysiłków na rzecz umacniania bezpieczeństwa i zaufania w Europie.

Jakże aktualnie dziś, po kilkunastu miesiącach brzmia słowa komunikatu, iż „szefowie rządów Polski i Grecji zwró- cili uwagę na zagrożenie pokoju i wy- powiedzieli się za podjęciem niezbęd- nych kroków, aby odwrócić niebezpie- czny rozwój wydarzeń, zachować doro- bek odprężenia oraz tworzyć przeslan- ki dla rozwoju konstruktywnej współ- pracy międzynarodowej”.

Generał Jaruzelski reprezentując tę niezmienną linię polityki zagranicznej naszego kraju miał w tym wypadku godnego partnera w osobie premiera Grecji, którego powitaliśmy na lotnis- ku transparentem głoszącym, iż „Pol- ska wita Andreasa Papandreu jako nie- strudzonego orędownika pokoju i wspól- pracy między narodami”.

Była to pierwsza po stanie wojen- nym wizyta w Warszawie szefa rządu z kraju należącego do NATO. Pod prze- wodem swego premiera i jego partii PASOK, Grecja prowadzi realistyczną politykę zagraniczną, zaangażowaną w sprawy rozbrojenia i współpracy z róż- nymi krajami, niezależnie od ich ustro- jów politycznych. Przykładami takiego konstruktywnego układania stosunków pomiędzy państwami należącymi do różnych ugrupowań polityczno-militar-

nych są właśnie wzajemne kontakty o- raz współdziałanie Polski i Grecji w rozwiązywaniu węzłowych problemów międzynarodowych.

Dużym impulsem w tym kierunku stała się niedawna wizyta w Atenach ministra spraw zagranicznych naszego kraju Mariana Orzechowskiego. Stwier- dzono mianowicie zgodność lub nawet identyczność poglądów w takich spra- wach jak potrzeba rozbrojenia, likwida- cji broni chemicznej, a także odnośnie Bliskiego Wschodu, Afryki i Ameryki Środkowej. Strona grecka z zadowo- leniem powitała stanowisko Polski w sprawie Cypru. W tej jakże istotnej dla Grecji sprawie opowiadamy się bo- wiem za wycofaniem obcych wojsk z Cypru oraz za kompleksowym rozwiąza- niem problemu cypryjskiego, zgodnie z zasadami poszanowania niepodległości, suwerenności i integralności terytorial- nej Republiki Cypru oraz jej statusu państwa niezaangażowanego.

Z kolei rząd Grecji wyraził wobec na- szego ministra przekonanie, że Polska jest stabilnym elementem sytuacji w Europie i każda próba podważenia sta- bilizacji w naszym kraju prowadzi do destabilizacji europejskiej. Ze wzrusze- niem słuchaliśmy wówczas relacji z wy- stąpienia ministra spraw zagranicznych Grecji Karolosza Papouliasa. „Oba na- sze narody — powiedział on, — cenią nade wszystko takie wartości jak wol- ność i niezależność, Groby polskich żoł- nierzy, którzy polegali na Krecie i gro- by Greków w Oświęcimiu są najlep- szym tego dowodem”.

W rozmowach, jakie prowadził min. Orzechowski ze swym greckim kolegą, a i z premierem Papandreu, prze- wodniczącym parlamentu Alewrasem podkre- ślono, iż nasze narody pokazały tak w przeszłości jak i dziś, że gdy mają do rozwiązania problemy — mogą same zna- leźć drogę, którą uważają za najlepszą dla dobra swego kraju. Istnieje więc trwały fundament dla rozwoju naszych bilateralnych stosunków. Odpowiedzial-

ni jesteśmy za ich stałe polepszanie w oparciu o wspólną wiarę w podstawo- we zasady Karty Narodów Zjednoczo- nych.

W tym aspekcie nawiązano do celów i zadań Międzynarodowego Roku Poko- ju — proklamowanego przez ONZ. Przy- pomnijmy tu należy inicjatywę grecką w sprawie utworzenia strefy bezatomo- wej na Bałkanach oraz podpisanie przez premiera Papandreu wraz z przywód- cami 5 innych państw deklaracji prze- ciwko zbrojeniom atomowym, znanej ja- ko „inicjatywa szóstki”. Nie można w tym miejscu nie wspomnieć, że jednym z tych sześciu przywódców był nieza- pomniany Olof Palme, którego premier Grecji określił jako swego „bliskiego, serdecznego przyjaciela”.

Wspólnie z Grecją podkreślamy, że zaostreżenie, które panuje obecnie w strefie europejskiej, nie może pozosta-ać obojętnym żadnego kraju. Dlatego oba nasze państwa aktywnie działają na rzecz pokojowego współistnienia. Ce- nimy sobie wysoko polityczną aktyw- ność rządu greckiego i osobiste premie- ra Papandreu na arenie międzynarodo- wej w działaniach na rzecz odprężenia, rozbrojenia i kontynuowania procesu KBWE. Jakże koresponduje z naszymi inicjatywami pokojowymi, wyrażony- mi ostatnio przez gen. Jaruzelskiego z trybuny ONZ oraz z głoszonymi przez ZSRW w Genewie propozycjami — nie- dawny apel premiera Grecji:

„Niebezpieczeństwo katastrofy nukle- arnej nie zmniejszyło się, ani nie odda- liło. Dlatego wszystkie rządy i narody mają obowiązek uczynić wszystko, aby- nigdy do niej nie doszło. Nie możemy sobie pozwolić na luksus czekania lub bezczynność. Nadszedł czas, aby stwo- rzyć świat bez broni”.

Dlatego też min. Orzechowski służ- nie podkreślił, że premier Papandreu składając wizytę w Polsce w roku 1984 działał nie tylko w interesie Grecji, lecz także w interesie pokoju i bezpie- czeństwa w Europie. Obie nasze kraje świadome są bowiem tego — i daly te- mu wyraz we wspólnym komunikacie

polsko-greckim — że regularnie pro- dzony dialog stanowi najlepszą dro- gę do stałego podtrzymywania wzajemnej- zrozumienia.

Ten dialog między naszymi krajami rozwija się owocnie i pomyślnie w- wszystkich dziedzinach: politycznej, s- łecznej, ekonomicznej, naukowej i kul- turalnej. Andreas Papandreu jako dok- tor honoris causa Uniwersytetu Jagiello- skiego mówił przy okazji wręczenia n- tego dyplomu, że uniwersytecy tak- jak Jagielloński funkcjonowały jak- światynie, w których rozkwitała wol- nym naukowemu, ukształtowały się hi- manistyczne i kulturowe wartości, m- jące decydujący wpływ nie tylko na r- wój i tożsamość Europy, ale całej kul- kości.

Z drugiej strony czyż trzeba podkr- lać ogromny szacunek, jaki odczuwa- dla kultury hellenistycznej, której ideały- gły u podstaw kształtowania się ws- stkiego co piękne i humanistyczne. H- lada — zarówno ta antyczna — jak- współczesna Grecja, mają w naszym kraju gorących miłośników.

Jest mi ogromnie miło jako sekret- rzowi generalnemu Towarzystwa Pr- jaźni Polsko-Greckiej stwierdzić, organizowane przez nas imprezy, ws- miane „Ogólnopolskie Dni Kultu- Greckiej” w Zielonej Górze a następ- we Wrocławiu i planowane na obec- rok w Poznaniu czy też tegoroczne (o- chody Święta Narodowe Grecji w Ki- kowie (nie licząc wielu inicjatyw ter- nowych) świadczą o wielkim zaangażo- waniu na tym polu.

Towarzystwo nasze skupia dziś liczn- resze ludzi działających w wielu r- gionach kraju na rzecz dalszego wzaje- nego poznawania i przyswajania sob- dorobku i wartości kulturalnych. S- oni orędownikami szczytnej idei prz- jaźni i zbliżenia obu naszych narodó- co znajduje w polskim społeczeństwie- szeroka aprobatę.

Grecja to kraj nam bliski i przyjaźn-

Cień padł na zamknięte powieki, więc od-
ruchowo otworzył oczy. Ziuta stała nad
nim. Oglądała go z dołu. Długie i silne nogi
widoczne były wysoko nad kolanami i dopie-
ro tam kryły się pod tkaniną sukienki. Słońce
przechodzące przez kolorowy materiał nadawało
udom przyjemną barwę. Widziała z dołu jej syl-
wetkę wydaną mu się jeszcze bardziej maszyną.
— Zbudziłam pana? Oddaje koc. Dziękuję.
Usiadł i zrobił jej miejsce przy sobie.
— Cieszę się, że pani przyszła. Proszę usiąść.
Kobieta zawałała się.
— Mam dużo pracy.
Zażartował, że robota nie zajac... Dodał jeszcze,
że panuje ogromny upał, praca w takim trybie
pełnym ognia jest niebezpieczna. Można doznać
udar, a szkoda byłoby tak pięknej osoby.
Ostatnie słowa sprawiły jej radość. Odwróci-
ła wzrok i dostrzegła rozrzucone drobniaki. W o-
czach jej uchwycił rodzącą się ciekawość.
— Jakże piękne rzeczy — powiedziała nieśmia-
ło.
— Aaa... te drobniaki... Przywiozłem je z ostat-
niej podróży zagranicznej — wyjaśnił. — Proszę
obejrzeć i wybrać coś dla siebie na pamiątkę.
Kobieta pochylała się, przykucnęła, brała do
ręki leżące przedmioty. O niektóre pytała. Wiele
widziała po raz pierwszy i nie miała pojęcia,
jakie jest ich przeznaczenie. Długo oglądała me-
talowe broszki.
— Podobają się pani? Proszę zatrzymać to dla
siebie — zachęcił i wprawił w zakłopotanie.
— Nie. Nie mogę.
— Cieszył się jej widokiem. Ta silna, dorosła ko-

dział, każda noc są do siebie podobna. Są ani,
ze zmęczenie zwała z nóg. Brakuje sił.

— Ale twój mąż cię kocha?
— Na swój sposób. Zwyczajnie. Jak każdy
chłop.
— Jeśli nie dostrzega twojego piękna, jest naj-
większym bałwanem na świecie.
— Nie zaprzeczyla. Oczywiście wydała mu się jesz-
cze bardziej smutną.
— Opowiedz o sobie — poprosił.
— Moje życie nie nadaje się do opowieści.
Pan dużo zwiędził. Jak naprawdę żyją ludzie
na świecie?
— Różnie. Są kraje, w których żyje się ludzkom
dobrze. Ale są i takie, w których panuje nędza.
Zamysliła się. Milczeli. I wtedy pomyślał po-
raz pierwszy — dlaczego ja to robię?
— Powiedz coś — poprosił, aby przerwać mi-
lencję.
— Nie byłam za granicą. Kiedyś marzyłam o
podróżach... Nie ukończyłam nawet średniej szko-
ły.
— Jak to się stało? — zapytał z udaną cieka-
wością.
— Zakochałam się. Młoda byłam i głupia, a on
silny i też... głupi. Podnosił w klubie ciężary.
Pił. Wszyscy się go bali. Kiedyś uległam... Potem
trzeba było porzucić szkołę i urodzić dziecko.
Oto cała historia.
Znowu podniósł jej rękę ze stolika i całował
długo przesuwając usta po skórze pokrytej deli-
katnym meshkiem. Minął przegub dłoni i powoli
centymetr po centymetrze całował rękę coraz

Sceny miłosne w literaturze pięknej

— Nie. Już pójdę... — prosiła, gdy podnosił ją
i prowadził w stronę namiotu. Weszła i opadła
na materac. Pospiesznie sznurował wejście, aby
nikt ich nie zakłócił. Leżała z zamkniętymi
oczami. Odsłonił jej długie i silne nogi. Całował
stopy, wędrował jego usta w stronę kolan, a
potem przesuwając się po udach odsłoniętych, na
które światło przenikało przez brezent namiotu
kładało delikatną pomarańczową barwę. Dygo-
cąc ze wzruszenia rozbił leżącą. Zawałała się
przed zdjęciem sukienki, ale był tak stanowczy,
że nie stawiała oporu. Odrzucił jeszcze przepo-
cony stanik i miał ją przed sobą taką, jaką była
— wspaniałą, której natura nie dała zbry wie-
le. Nachylił się i dotykając sobą jej ciało całował
czoło, oczy, usta, włosy, a potem szyję, na której
pulsowały tętnice. Lekko ułożyła swoje ręce na
jego plecach i odchyliła głowę, aby usta jego
wędrowały bez przeszkód.

Nieopisaną rozkosz doznała wtedy, gdy całow-
wał piersi. Mąż nigdy się na to nie zdobył. Je-
dyne uczucie, jakiego kiedyś doznała, to uścisk
dziecięcych dłoń. Wtedy też było przyjemnie,
ale nie zdawała sobie sprawy, że kryją te małe
wzgorzeczki źródła tak wspaniałych doznań.

— Jeszcze... jeszcze... — prosiła.
Wracał więc i stosował wszystko, czego nauczyły
go kobiety. Chciał rzeczywiście odsłonić przed

nie, delikatne, jakby bał się spłoszyć rozkosz,
która w nich zagościła. Kobieta coś szeptała, ale
nie usiłował odczytać jej słów, nie starał się na
wet wśluchiwać w jej szep. Odpływał daleko
w przestrzeń, w której czas przestawał istnieć.
Ciało jej było rozgrzane do białości. Wciagała
go coraz głębiej w siebie, a i on miał wielkie
pragnienie zanurzyć się w nią i tak już pozostać.

Delikatnie, jak tylko potrafił, przesuwając się
opieczony ramionami. Jej usta szukały jego ust.
Miał świadomość, że zbliża się nieuchronny ko-
niec, usiłował jeszcze wszystko przedłużyć, ale
już przeżyła się, drżała skrzęta, chwiała zeba-
mi, za kark, płakała cichutko... i nim także
wstrząsnął przyjemny dreszcz i wszystko cichło,
ciała stały się miękkie, ręce jej zsunęły z jego
ramion, opadły wzdłuż ciała, jakby chciały odpo-
cząć. On także rozluźnił uścisk, szukał palcami
włosów, bawił się małymi muszelkami uszu.

Już byli spokojni. Leżeli spokojni. Leżeli obok
siebie. Uspokoiły się oddech, krew odzyskała
dawny rytm. Milczeli. Przez dach namiotu sączy-
ło się pomarańczowe światło. Sprawilo ono, że
ciało leżącej kobiety wyglądało jak przeniesio-
ne z płótna starych mistrzów. Podniósł jej głowę
i tulił. Płakała.

— To nic — usprawiedliwiała się. — Jestem
szczęśliwa.

— Płacz... — prosił, bo wiedział, że przyniesie
jej ulgę.

— Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, że mo-
że być właśnie tak.

— Dlaczego ja to zrobiłem? — pomyślał po raz
trzeci.

— Nie wyobrażałam sobie. Długo straciłam.
Mąż... Umilkł, ale nie powiedział nic. Czekal.

— Z mężem to zupełnie inaczej. Nigdy czegoś
takiego nie przeżyłam. Nigdy właściwie nie dał
mi satysfakcji. Nigdy. Przychodził, brał, robił
swoje i natychmiast zasypiał.

— Próbowalaś rozmawiać?

Uśmiechnęła się przez łzy, wytarła twarz, usiad-
ła i chciała włożyć sukienkę.

— Poczekaj — powiedział. — Chcę cię taką
utrwalić.

Wyszedł z namiotu, wziął aparat i zrobił jej
zdjęcia — naga siedząca, leżąca, leżąca bokiem,
leżąca na brzuchu. Spełniała jego prośby, ponie-
waż wiedziała, że sprawia mu to przyjemność.
Zniknął na chwilę, a kiedy się pojawił, trzymał
w ręku statyw. Szybko zamocował aparat i prze-
stał obiektować na działanie z opóźnieniem.
Pospiesznie zajął miejsce obok. Usłyszał suchy
trask. Czynność powtórzył kilkakrotnie i nakła-
niał ją do przyjmowania coraz to innych poz.
A potem całował. Tylko już nie tak długo i nie
tak mocno.

Ubięła się powoli.

— Siano nie zgrabił — zmartwiła się szcze-
rze.

— Zdażysz jeszcze.

Spostrzegł, że patrzy na leżące drobniaki. Pa-
mietal, że bawiła się metalową broszką, którą
przywiozł z Egiptu. Podał jej, a gdy się wahała,
podszedł i przypiął do sukienki.

— Weź na pamiątkę.

Milczała. W zasadzie teraz dopiero rodziło
się w niej zmęczenie, dopiero teraz zaczę-
ła uświadamiać sobie istotę przeżycia, które
niepodzielnie stało się jej udziałem. Od po-
czątku, od chwili gdy podał jej koc, a ona kryła
się przed jego ciekawym wzrokiem w zielonej
wodzie, podobal się jej. Był zupełnie inny niż
mąż. W każdym geście, w każdym słowie wy-
czuwała jego wyższość. Od początku był to mąż
człowieka z innego, egzotycznego świata, do które-
go często uciekała w dźwięcznych marzeniach.

— Nie wyobrażam sobie... — próbował mówić,
ale położyła palec na jego ustach odbierając mu
głos.

Siedzieli w milczeniu. Dotykała jego ust, czoła,
gładziła włosy. Myśli o nie dokończonych pracy
podrywała do odejścia. Jednocześnie pragnęła
przedłużyć chwilę spędzoną z poznanym dzisiaj
człowiekiem. Była smutna. Wiedziała, że wraca-
jąc do męża, już do męża nie wraca.

Przeżyła coś wspaniałego, a zarazem przera-
żającego. Wciąż tak kochała w wielkim świecie.
Mają na to czas... Teraz, po upływie kilkunastu
minut pewne doznania wydawały się jej nieprzy-
zwolne. Obudzili się wyrzuty sumienia.

Jan napisał kieliszki koniakiem. Podał jej do
ręki szklę, w którym zamigotało słońce. Wypila
bez wahania. Poczuła ulgę, ale jeszcze szukała
usprawiedliwienia dla siebie.

— To było straszne. Wstydzi się. Czy tak ko-
chają się ludzie z wielkiego świata?

Trochę ją rozumiał.

— Droga Ziuto. Wszystko, co się tutaj stało,
było całkiem niewinne. Nie musimy się wsty-
dzić. W kąpieliach dzieje się rzeczy, o których
nie masz wyobrażenia. Współczesny człowiek
szuka wrażeń mocnych i szokujących. Za rok
przyjdziesz. Wtedy przekroczymy następny próg.

— Nie. Nie chcę. To grzech.

Uśmiechnął się z lekceważeniem.

— Nie jest grzechem to, co ludziom sprawia
przyjemność i daje szczęście. To główna zasada
moralności.

— Nie znam się na tym i nie wiem, o jakiej
moralności pan mówi.

— O socjalistycznej.

— Nasza moralność nakazuje inaczej.

Wiedziała, że opadły ją w tej chwili wyrzuty
sumienia jak stado wygłodzonych zwierząt. Mu-
siało coś zrobić, aby wyprowadzić ją z zamyślu.

— Nie ma moralności naszej i waszej. Jest je-
dna i postępuje zgodnie z jej zasadami. Jest mi
dobrze odrzucić przesady, złożyć siłą, bierz od
życia wszystko, jest zbyt krótkie.

84 to fragmenty książki „Pokończ w sierpniu”, wy-
danej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w 1985 r.

przygoda Ziuty

Edward Kupiszewski

bieta zauroczona była niewyobrażalnym przepę-
chem jak mała dziewczynka.

— Jest pan bardzo bogaty — stwierdziła.

— Coś nieco osiągnąłem w życiu.

— Często pan wyjeżdża za granicę?

— Zdarza się.

Przypomniał sobie, że ma aparat fotograficzny

i mógłby ją utrwać w takiej właśnie pozie.

— Proszę nie zmieniać pozycji. Zrobię zdjęcie.

Szybko przygotował aparat i zanim zwinął

obiektyw, poprosił, aby spojrzała w jego stro-
nę. Potem wykonał kilka zdjęć z innych pun-
któw.

— Będzie to przemila pamiątka. Takie spot-
kanie...

— Pójdę już...

Ton tej informacji był łatwy do rozszyfrowa-
nia — usprawiedliwiała się sama przed sobą.

Wiedziała, co powiedzieć w tym momencie.

— Proszę zostać. Tak! upał... Proszę.

Wskazał miejsce przy stoliku, na którym stał

koniak i dwa kieliszki. Z bieżącego wyjął skła-
dany parasol, rozwinął jego czaszę i ustawił tak,
aby oboje znaleźli się w cieniu.

Przyjęła zaproszenie. Usiadł blisko niej. Pa-
trył. Starał się zapamiętać każdy szczegół jej

surowej i spalanej słońcem twarzy. Kiedyś była

piękna. Teraz skóra na jej czole luszczyla się,
a nos miał barwę czerwoną. Rysowały się pier-
wsze zmarszczki. Pomyślał, że w tym stanie nie

mogłoby uratować jej urody nawet najlepsze sto-
teczne kosmetyki.

— Proszę tak na mnie nie patrzeć.

Urocze było to jej zawstydzenie.

— Przepraszam. Ma pani tak rzadko spotyka-
ny typ urody... — kiwnął patrząc jej w oczy.

— Czy pani wie, jak bardzo jest piękna?

— Przesadza pan z tą urodą. Zwyczajna i ty-
le...

— Nikt pani o tym nie mówił?

— Nie ma czasu. Kiedyś może tak... Teraz nie
ma czasu.

— Jak to się stało, że taka piękna kobieta
marnuje się na odludziu?

— Tu się urodziłam. Ale dajmy spokój. Nie
lubie o tym mówić.

Gdy to mówiła, Jan napisał kieliszki.

— Za nasze spotkanie.

Podniosła kieliszek do ust i spróbowała. Za-
chęcił do wypicia całej zawartości. Bała się, że

się upije. Prosił bardzo sugestywnie. Wypila.

— Pójdę już — powiedziała tym samym tonem
co przedtem.

Wziął jej dłoń i podniósł do ust. Dostrzegł, że
oczy jej zachodzą mgłą, a tętno na szyi pulsuje
szybciej. Sam doznawał podobnego uczucia. Długo

trzymał usta na dion pachnącej siłanem i wo-
dą Narwi.

— Proszę zostać. Jest pani taka piękna. Dzieje
się ze mną coś niesamowitego. Pierwszy raz w
życiu... a wlepie przeżyłem.

— Wstydzi się. W takiej sytuacji mnie pan za-
stał.

Popatrzył jej w oczy i powiedział.

— Jest pani piękna, a szczęśliwy traf odsłonił
mi to piękno przede mną. Okazuje pani w ten
sposób niewdzięczność naturze, która była tak
hojna. Poznałem wiele kobiet. Znam Angielki,
Francuzki, Włoszki, Rosjanki... Wiele z nich prze-
żyło pani urodę.

Kłamał z oeromną szczerością w głosie. I
czuł, że wierzyła. Głos jego podniecał ją.

Tyle pięknych słów, tyle komplementów,
że wystarczyłoby na całe życie.

Nieostrożnie napchnął kieliszki.

— Ziuto... proszę.

Zwrócił się do niej w tej właśnie formie. Miał
wrażenie, że wyłamuje ostatnią dzielącą ich ba-
rierę. Nie broniła się. Wypiła połowę zawartości.

— Jesteś zapewne bardzo kochana?

Rabkiem chustki zarzuconej na ramiona otar-
ła usta.

— Potanie sprowadziło w jej oczy cień smutku.

— Na wój nie mówię o miłości. Każdy

wyżej i wyżej. Nie bronila się. Drżała. Zbliżał
się do niej i całował ramiona, kark, szyję, uszy...
Odchyliła głowę i podawała usta. Cała zielona prze-
strzeń, cała bieżąca kopalnia i Narwa okolona zie-
lenią zawirowały nagle w jej oczach. Tuliła się
coraz bardziej, coraz mocniej. Czuł jej piersi,
gdy delikatnie przyciskał do siebie. Opiotła jego
szyję ramionami. Długo to trwało. Bardzo długo.
Wystarczyło, aby zapomnieć o całym świecie.

— Wspaniale... — szeptała kobieta.

Zmęczył się. Znowu siedli naprzeciwko i oddy-
chali ciężko.

— Dlaczego ja to robię? — pomyślał po raz
drugi i na przekór sobie powiedział.

— Jesteś cudowną dziewczyną...

— Pójdę już — powiedziała znowu, ale nie
odchodziła.

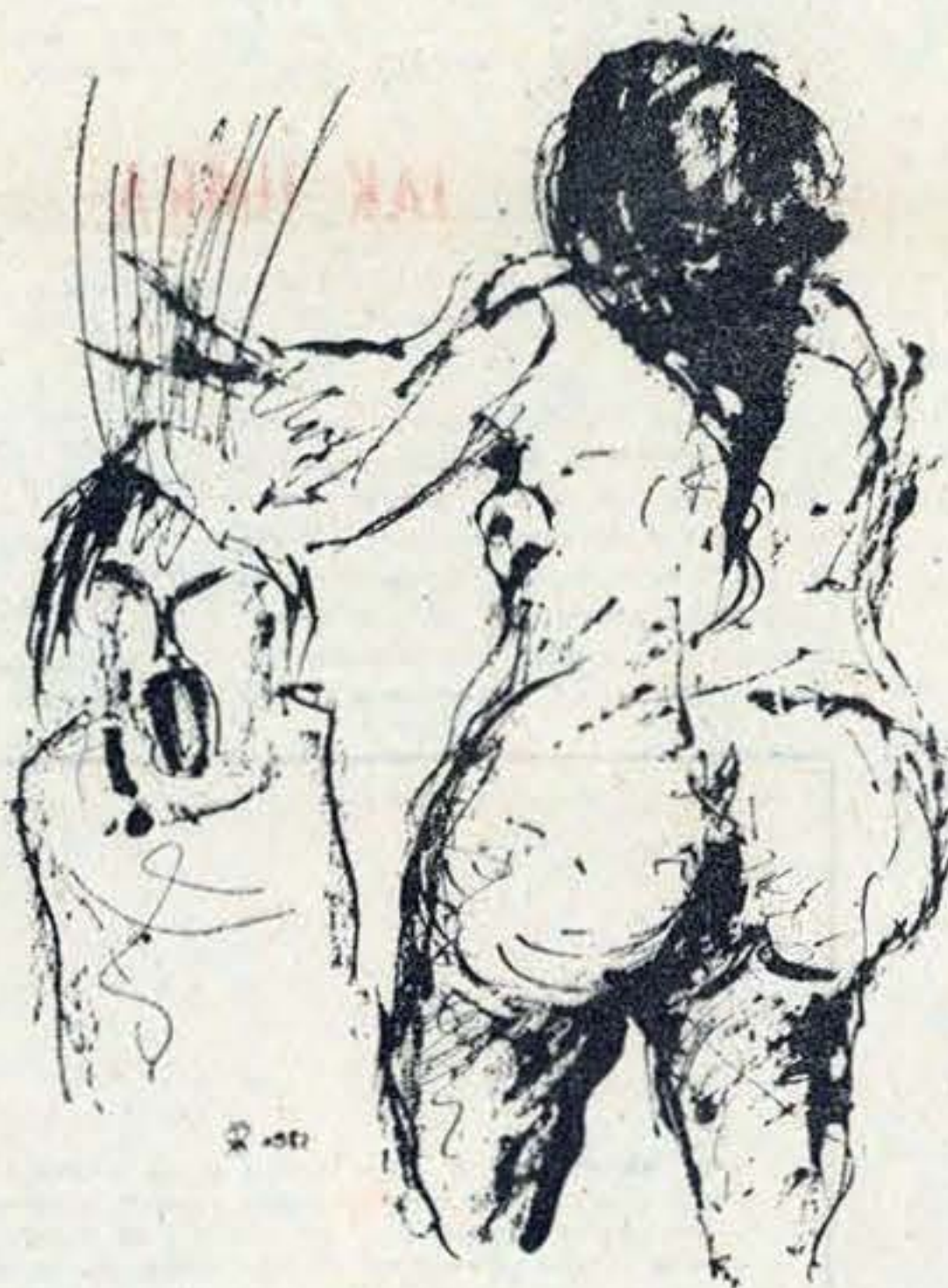
— Nie — zaprotestował. — To się nie może
tak banalnie zakończyć. Jesteś pierwszą kobie-
tą, dla której straciłem przytomność. Dzieje się
ze mną coś wspaniałego. Chcę z tobą przeżyć mi-
łość, którą zapamiętam na całe lata...

— Nie mogę, to grzech.

— Przesadziłaś, mój dziecko. Większym grze-
chem jest trwanie przy mężu, który cie nie doce-
nia, który nie widzi w tobie człowieka, a jedy-
nie możliwości zaspokojenia potrzeb. Czy on pró-
bowal zażyć w twoją głębie, czy zobaczył tam
prawdziwe serce, duszę, która chce być rozumia-
na, czy zobaczył twoje marzenia, czy próbował
je zrealizować. Życie z takim człowiekiem to
grzech.

Zamknęła oczy i słuchała w milczeniu.

— Pragnę przeżyć z tobą miłość, jakiej nikt
jeszcze nie przeżył. Miłość, która przekroczy
wszelkie granice.



RYSZARD RYCKOWSKI

nią całe bogactwo miłości. Myśli o tym, że jest
pierwszym, który dla niej tę krainę odkrywa,
dawała mu wielką satysfakcję. Ze zdwojoną
energiją całował biały ślad po staniku — lasko-
tal skóre, oddychał ciężko, a powietrze raz za-
znaczało się dotykem chłodnym, a raz gorącym.
Całował teraz skórę brzucha. Leżała z głową od-
rzuconą do tyłu, a jej ręce oparte na jego kar-
ku bardziej przyciągały go niż odpychały. Prze-
sunął się jeszcze lekko w dół i musnął ustami po
włoskach pokrywających tę część ciała. Poruszy-
ła się niespokojnie i zasłoniła gwałtownym ru-
chem ręk.

— Tam nie można... — szeptała.

— Można — odpowiedział podniecony (do gra-
nic). — Jeśli się mocno kocha, to można. Chcę,
żebyś i to przeżyła, żebyś zapamiętała.

Ustami odsunął jej dłoń. Drżała. Rozchyliła
nogi. Była otwarta. Patrzył zamglonymi oczami
i podziwiał małe, cudne uformowane mi-
sternie jak u dojrzewającej dziewczyny. Nie
wierzyl, że jest przed nim dojrzalsza kobieta, któ-
ra rodziła. Zatrzącił się zupełnie. Laskotal drżąca,
aż ta wykonała nagle ruch, zaplotła mu nogi na
szyi, ściągnęła w dół, podniosła się, targała pal-
cami jego włosy.

Uwolnił się. Znowu był nad nią, przylegał
mocno do jej ciała. Tworzył teraz
całość i żadne już nie wiedziało, gdzie się
kończy jedno a zaczyna drugie. Dużą przyjem-
ność sprawiali mu jej palce rysujące paznokla-
mi skórę na plecach. Wykonwał ruchy powoli



Poeci wileńscy

Niedawno znalazła się w moich rękach piękna książeczka poetycka; antologia polskich poetów, mieszkających na Litwie — „Sponad Wilii cichych fal”, na którą już od pewnego czasu czekałem. Wiedziałem bowiem od Henryka Szykiny, że w Wilnie staraniem tamtejszego środowiska literackiego, przygotowywana jest do druku antologia po

etów polskich. Wydało ją w roku ubiegłym wydawnictwo „Sviesa”.

Antologia „Sponad Wilii cichych fal” — trzeba podkreślić — jest pierwszą książką literacką, wydaną po wojnie w Wilnie w języku polskim, pierwszą, prezentującą obecność i dorobek miejscowego środowiska literackiego. Antologia ukazała się w bardzo małym nakładzie, bo w zaledwie sześćset egzemplarzach. Nie będzie więc miał krajowy czytelnik dużych możliwości aby zapoznać się z tą, ze wszech miar wartościową, książką. „Sponad Wilii i cichych fal” — jak czytamy w nocie informacyjnej — „zawiera wiersze poetów polskich należących do kręgu literackiego przy redakcji wileńskiego dziennika „Czerwony Sztandar”. Większość z zamieszczonych tu wierszy była publikowana w „Kolumnie Literackiej” tego dziennika”.

Duży wkład w jej redakcję wnieśli: Jadwiga Kudrko i Stanisław Jakutis, który pomieszczył na początku antologii własny czterowiersz, pełniący funkcję swego rodzaju motta, z którego zaczerpnięty został tytuł całej publikacji. Jeśli książka ta w końcu ukazała się, to jest to

duża zasługa właśnie wyżej wymienionych redaktorów. Do antologii „Słowo wstępne” napisał wybitny litewski poeta Eduardas Miezelaitis. Możemy się z tej przedmowy dowiedzieć, że lubuski — Henryk Szykina również — jak czytamy — „energijnie ułożył w opracowanie tej antologii”.

Nie jest antologia publikacją pokołową lub określonej grupy poetów, mających jakiś wspólny program artystyczny. W książce możemy znaleźć wiersze autorów zdecydowanie różniących się między sobą wiekiem. Drukują tu wiersze autorzy urodzeni jeszcze przed wojną, w latach dwudziestych, ale większość urodziła się znacznie później. Są to roczniki: 1941, 1944, 1950, a nawet 1953. Można więc rzec, że jest to typowo środowiskowa antologia.

Ma rację Miezelaitis, iż na zawartość „składają się (...) utwory ludzi różnych zawodów, którzy odczuwają niewątpliwą potrzebę, obok codziennych swych zajęć, obcowania jeszcze z kulturą poezji i sztuki”. Nie ma tu nikogo, kto by zajmował się wyłącznie literaturą. Można jednak pokusić się o pewne uogólnienie. Wielu, zwłaszcza młodych, łącząc, poza przynależnością do kręgu literackiego „Czerwonego Sztandaru” i druk wierszy w „Kolumnie Literackiej”, również studia jak możemy wyznaczyć z zamieszczonych w antologii not biograficznych — w Wileńskim Instytucie Pedagogicznym lub Uniwersytecie Wileńskim. Niektórzy z autorów, w różnych latach oczywiście, uzyskiwali dyplomy filologii polskiej tamtejszych uczelni. Pewną prawidłowością również jest, że wielu poetów zajmuje się pracą dziennikarską w prasie lub w radio.

Wiersze piętnastu poetów, bo tylko wchodził w skład tej antologii, przeczytałem z dużą uwagą. I muszę przyznać, że wiele z nich sprawiło mi dużą czytelnicką satysfakcję. Myślę, że świadczy o niej niejednokrotnie o „znalezieniu już lub o poszukiwaniu nowoczesnych środków wyrazu. Jest też wiele wierszy, których dojrzałość przemysłowa, świeżość, odkrywczość obrazowania, głębia uczuć i przeżyć. Są też wiersze bardzo tradycyjnie realizujące kunszt poetycki.

Najciekawszym spośród poetów antologii „Sponad Wilii cichych fal” jest — moim zdaniem — Henryk Mazul (ur. 1953 r.). Jego wiersze cechuje duża oszczędność wyrazu. Słowa tu uzyskuje maksimum znaczenia. Ponadto tematyka wierszy jest bardzo współczesna. Mazul posługuje się formą nowoczesną. Korzysta z poetyki fragmentu, kompuńkatu czy notatki prasowej, jak choćby w wierszu: „III. 1976 / na Stefankiej / została zgubiona portmonetka / z pokatą na sumę pieniędzy / krótko mówiąc: by na lazi / proszony jest / dożył się / w nagrodzenie / o / trzymanie języka za zębami”. Nie trudno dostrzec, że wiersz ten stanowi nawiązanie do poetyki T. Różewicza.

Wiele satysfakcji sprawiły mi też wiersze Romualda Mieczkowskiego (ur. 1950 r.), wiersze zwarte, nacechowane miętnością skróconego opisu. Poeta ten także dąży do opisu życia w sferze zwykłości. Egzystencja zostaje tu odpoetyczniona, a więc widziana jest bardzo współcześnie i nowoczesnie („Moje

miasto spi”, „Baba lako”). Mieczkowski jest dostrzegany w stawianiu pytań:

Drzewa mają serce
domy mają serce
kamienie mają serce
czy wszyscy ludzie mają serce
(„Z obserwacji”)

Oczywiście tonacje uczuciowe również wypełniają jego wiersze, zarysowane są jednak delikatnie, bez przesady, niej wyidealizacji. Nie spotkamy tu pseudopoetyckich określeń.

Także wierszom Jana Billa (ur. 1953 r.) obcy jest patetyzm. Z zamieszczonych w antologii zwrócił moją uwagę dojrzały liryczny, wiersz-apostrofa „Do mojej Madonny”. Stanowi on inwokację do codzienności, do zwykłości, takiej jaka nas otacza, jaka przenika naszą wyobraźnię i myśl, jaka wypełnia egzystencję. Cytuje:

Moja Madonno w dziesiąch
Pełna rytmu pełna tańca
Madonno o polotowatych uszach
Madonno o deszczowego rozważa
Madonno z moich smutkach
Madonno rannej rosy
(...)

Madonno pierwszego wiersza
Madonno bezdomnych kotów
Madonno pełnego wiersza
Madonno małych kłopotów

Natomiast w prezentacji Wojciecha Piotrowicza (ur. 1940 r.) za wartościowy uznać trzeba nie patetyczny, publicystyczny, stereotypowy wiersz „Pokój święty” (czekolwiek szlachetny w intencjach), ale ujawniony liryzm w opisie starego wiatrak, wierszy płaczący, dmuchawców. Walorem ich jest eksponowanie konkretnych wyzwoleń formy i dążenie do przystawności słowa do rzeczy. Wojciech Piotrowicz poświęcił również wiersze Adamowi Mickiewiczowi: „26 listopada 1855 roku w Konstancynie” i „Nowogródzki jesienny dzień”. Mickiewicz jest zresztą bohaterem wielu wierszy tej antologii. Jest swoistym patronem lirycznych natchnień.

Byłoby niedopatrzeniem, jeśliśmy nie powiedzieli, że autorką interesujących wierszy, skupionych wewnętrznie, zwartych, które zakreślają wyraźnie przedmiot poetyckiego opisu, jest Alicja Małachowska-Morka (ur. 1948 r.).

Autorem, który wręcz przykuwał, w każdym zdaniu, moją czytelnicką uwagę, jest Jan Ciechanowicz (ur. 1946 r.) prezentujący się w antologii jako autorysta: „Oto kilka z nich: „Zadna praca nie hańbi, tych, którzy nie nie robią”, „Cóż z tego, że obierasz rzecz wazek stroniem? Będziesz po prostu wszechstronnie stroniący”, „Marzenie miłoty: aby wszyscy pacyfści znaleźli się w obozie przeciwników”, „Gdy mówca na reszcie umi, nagrodzono go za to rzekłymi odświeżkami”, „Zmarł tyran. Dwa racy się zachowywali, jak do twarży jest mu w trumnie”. Nie miejsce tu na więcej przykładów, ale już te świadczą, że mamy do czynienia z mądrym i bystrym obserwatorem życia, umiejącym formułować zaskakujące wnioski.

Natomiast gdy idzie o Sławomira Worotyńskiego (ur. 1942 r.), to zwracają uwagę szczególnie wiersze krótkie, swoiste miniatury poetyckie z cyklu „Album kwiatów”. Oto jedna z nich:

Deszcz na długą otulił piwonie.
Nie chce rozstać się z ciepłym kwiatem.
Niby pragnie szeptać do niej:
„Jaka piękna jesteś Achmatowicz!”

Wiersze jego świadczą o umiejętności zawarcia w kilku zdaniach treści racjonalnych jak i płynących z podświadomości, a lirycznej. Jego wiersze dają obraz oryginalnego talentu. Niestety Worotyński zmarł w 1983 roku.

Eduardas Miezelaitis przychylnie ocenił w „Słowie wstępnym” propozycję liryczną Marii Lotockiej (ur. 1944 r.), doszłęgając „Subtelność ducnowa” i „Spowiedź liryczna”. Trzeba przyznać, że Lotocka jest osobowością wrażliwą i czułą na nastroje poetyckie, liryzm sytuacji i dignienia psychiki. Potrafi bardzo sugestywnie pisać o emocjonalnych problemach, o krajoznawstwie, miłości i zjawiskach przyrody. Jest najbardziej ze wszystkich zafascynowana romantyzmem.

Z poetek starszego pokolenia zwracają na siebie uwagę wiersze Matyldy Stempkowskiej (ur. 1925 r.). Miezelaitis pisze o tej poetce: „Uroczy metaforyczny rysunek wiersza tej poetki, subtelne pastelowe jego barwy, głębia psychologiczna, wewnętrzny monolog jej bohaterki lirycznej, ostry dramatyzm przeżyć i wielka serdeczność, wiersze mile ciepłe”. Wiersze jej — można dodać — cechuje wyciszenie sprzeczności uczuciowych, łagodność jednolitej tonacji. Są to wiersze estetycznie piękne, mówiące o szlachetnych uczuciach. Wyrażają przekonanie, iż natura człowieka i świata jest dobra i jasna.

Wiele pięknych zdań (nie miejsce tu przedstawiać wszystkich poetów antologii) i strof znajdujemy również w wierszach: Wołosiewicza, Wojszwillo, Snieżko, Sokolowskiego, Kacynela czy Bębnowskiej. U każdego z autorów jest coś, co może zwrócić uwagę czytelnika. Uważam jednak, że cenne są zwłaszcza te wiersze, ci autorzy, którzy nie powielają dawnych poetyckich wzorców wersyfikacyjnych i uczuciowych, ale próbują kształtować już nową wrażliwość, odpowiadającą emocjom i refleksjom współczesnego człowieka. Poeci ci (Mazul, Mieczkowski, Bill) potrafią odwoływać się również do dokonanych w literaturze i sztuce. Myślę, że zwłaszcza Mazul i Mieczkowski są już na tyle dojrzał, że mogliby z powodzeniem opublikować samodzielne tomiki.

Na koniec chcę wyrazić wielką radość z powodu ukazania się tej pierwszej literackiej książki, wydanej na Litwie po polsku. Myślę, że w ślad za tą antologią ukaza się następnie publikacja zbiorowa lub indywidualna.

CZESŁAW SOBKOWIAK

Antologia wileńskich poetów polskich: „Sponad Wilii cichych fal”, red: Jadwiga Kudrko i Stanisław Jakutis. „Słowo wstępne”: Eduardas Miezelaitis. Wilno: Wydawnictwo „Sviesa”, 1985, s. 160.



MARIAN KRUCZEK

W 1976 roku Muzeum Ziemi Lubuskiej nawiązało kontakt z krakowskim artystą plastykiem Marianem Kruczekiem, kupując od niego relief „Zakłucie-Siwak”. Wtedy też zrodziła się myśl, by w Zielonej Górze utworzyć stałą galerię autorską tego artysty. W następnym roku M. Kruczek przyjechał do Zielonej Góry i na miejscu wykonał wiele rzezb i reliefów. W latach 1977-80 M. Kruczek był częstym gościem w Zielonej Górze, wzbogacając galerię o nowe prace. Obecna galeria składa się z trzech części, pierwsza ma kształt sanktuarium, a czołowe miejsce zajmuje w niej ołtarz dębowy z wmontowaną rzezbą artysty. W drugiej sali umieszczono jedno z największych dzieł pt. „Mala kochanica”, zaś w części trzeciej znajdują się małe formy rzeźbiarskie. M. Kruczek tworzył swoje prace z rzeczy wydawało by się abdyanych, zorientowanych na ziomowiskach, w rupieciarniach. Krytycy mówili, że artysta rehabilituje odpady złom, rupiecie, poprzez artystyczną reinkarnację przywraca im drugie życie. Artysta wprowadzał elementy malarskie do rzeź

by, rzeźbiarskie, graficzne, malarskie do reliefu. Dzieła swoje budował oryginalnie, pozbawiając ich kształtu do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. Wyznał kiedyś: „U nas praca artysty to rzecz jakby wstydliva. Ludzie chowają się z pracą do kąta i pokazują dopiero gotowy produkt. Ze środowiska, z którego go wyszedłem, wyniosłem poczucie wartości pracy konkretnej, wymiernej, sprawdzalnej. Pracy, której program tworzy ten, co ją sam realizuje, gdzie nie ma miejsca na niesolidność... Chciałbym wyjść na ulicę. Chcę to połączyć nie z uernizatem, ale z robotą. Ogłoszę na przykład, że w sobotę po południu będzie spawanie rzeźb... Chciałbym podzielić swoją sztuką ze wszystkimi... Mnie sztuka daje radość przez pracę i po to chyba istnieję, żeby się z tą radością podzielić”.

Marian Kruczek urodził się w 1927 r. w Płowcach na Rzeszowszczyźnie. Początkowo zamierzał studiować w Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi, odstąpił od tego podczas odbywania służby wojskowej. W 1954 r. ukończył Wydział Malarstwa krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, zostając asystentem a w roku 1975 docentem ASP. W 1956 r. związał się z Nową Hutą, gdzie tworzył swoje prace. Brał udział w wielu międzynarodowych wystawach i pienterach, m. in. w 1977 r. w Zielonogórskich Spotkaniach Rzeźbiarskich. Zmarł w Krakowie w 1983 roku. Prace M. Kruczka znajdują się w zbiorach muzealnych i prywatnych m.in. w Chinach, Czechosłowacji, Francji, Kanadzie, NRD, RFN, Szwajcarii, USA, ZSRR, Izraelu. W Polsce najbogatszą kolekcję dzieł artysty posiada Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze.

AS

wyrok

Było ich dwóch: w kapeluszach nisko zwiniętych na czola, prochowcach a la porucznik Colombo, z aktówkami przy bokach — słowem typy z rysunków A. Mieczki. Stali przede mną w otwartych drzwiach mieszkania, niezłym imperatywem kategorycznym, i lypali beczelnie na moją rozmianianą i rozczłapaną domową osobę. Oni stali, i ja stałem — oni lypali, a ja zaczynałem jakad się wewnętrznie. Sytuacja robiła się nieznośnie głupkowata.

— Panowie wejdą — wydukałem.

Weszli. Rozmiedli się na podniszczonych krzesłach, kapelusze przesunęli, na modle Mikuby, bardziej na tył głowy, rozpieli płaszcze, lecz ich nie zdjęli.

— Zadznej kawy, ani herbaty. Dobrze rozumiemy... — po wiedział rozkazująco jeden, który niczym nie różnił się od drugiego. Wyjęli z aktówek papierzyka i, odsunawszy moje szpagaty, starannie ułożyli swoje na stole. Jeden wyciągnął biurowy kalkulator. Poszukał gniazdka. Podłączył.

— Nogi zaczęły mi dygotać. Poczuliem się jak pan K. i „Procesu”. — Panowie, o co jestem...

— Przestańcie się wygłupiać! — przerwał mi ten od kawy i herbaty. — Strasznie kiepko wyglądacie.

— Żyje zgodnie z duchem, to znaczy z zasadami trzech „F”.

— Rozumiem — pokiwał głową ten od mówienia, kawy i herbaty — festiwal, festyny i festy... Ale coś mało dostępnego jestescie.

— Piwo podróżowało — baknąłem bez sensu.

— Tak... A mieliście być dla każdej rodziny.

— Niełatwo w dzisiejszych czasach kroczyć się drogą miecza — ponownie baknąłem bez sensu. Ten od mówienia pokiwał głową, a drugi w tym czasie liczył zawzięcie na kalkulatorze, co jakiś czas zerkając na wyłożone papierzyka.

Ja stałem, ten od mówienia lypał krytycznie, tamten drugi liczył.

— Margaryne z importu jecie... — plgnął ten od mówienia i z niesmakiem rozglądał się po pokoju. Nie zdążyłem zakłonić wiszącego na ścianie plakatu z „Wejścia smoka” — zauważył: — Filmy zachodnie oglądacie...

— Tapeta odeszła — tłumaczyłem się jak ucniak.

— Te najnowsze encyklopedie macie?

— Nie! — krzyknąłem z radością.

— To i tak nie robi różnicy. — Przyglądał się chwilę licząc na kalkulatorze. — Cholernie duży wsad! — wyryczał niemal. — A jak ze zdrowiem?

Wyprężyłem się, ale chyba zbyt energicznie, bo coś zachrumkało. Jęknąłem z bólu i skurczyłem się jak wiedzma z bajki.

Spojrzał z niesmakiem.

— Jesteście coraz drożsi i coraz gorsi, a mieliście taniej i służyć każdej rodzinie.

— Pracuję w niskonakładowym dwutygodniku. Stać mnie na wysokonakładowy tygodnik, ale... byłoby dochodowy... — zaskowyczałem niezłym Krzysztof Krawczyk w Stanach Zjednoczonych.

Głupio powiedziałem. Tamten zarżał:

— I to wy mówicie? I do kogo ta mowa? Wam się marzą mechanizmy, a realia topsu na budż. ta? — Piekł nie szybko przechodził z rozważania w rozdrażnienie. — Wściecie dobrze, że brakuje papieru, mocy i fachowców. Dobrze wiecie, tylko głupka udaje. Ech! — machnął reką, jak Sergiusz Jasienin o trzeciej nad ranem.

W tym czasie drugi wyłączył z namaszczonej miną kalkulator i schował go do aktówki. Popatrzyli sobie w oczy.

— Na pograniczu opłacalności — chłodno zawyrokował ten od liczenia.

Wiedziałem, że mówi o mnie. To koniec — pomyślałem. A mama mówiła: — Masz synku prezentację, jesteś inteligentny — idź na dyplomate. Z tymi gryzmołami daleko nie zajdziesz. Na placówce party wydasz, z ludźmi pogadasz, będziesz miał lepiej niż ten z „Kamiennych tablic”, boś mądrzejszy. A od pisania tylko grzłityc dostaniesz albo zwariujesz.

— Durne jajo! — krzyknąłem niespodziewanie sam dla siebie.

To ich poruszyło. Takiej reakcji nie spodziewali się po mnie.

— O czym wy? — zagadał ten od gadania.

— O jaku mądrzejszym od kury — wyjaśniłem z miną idioty.

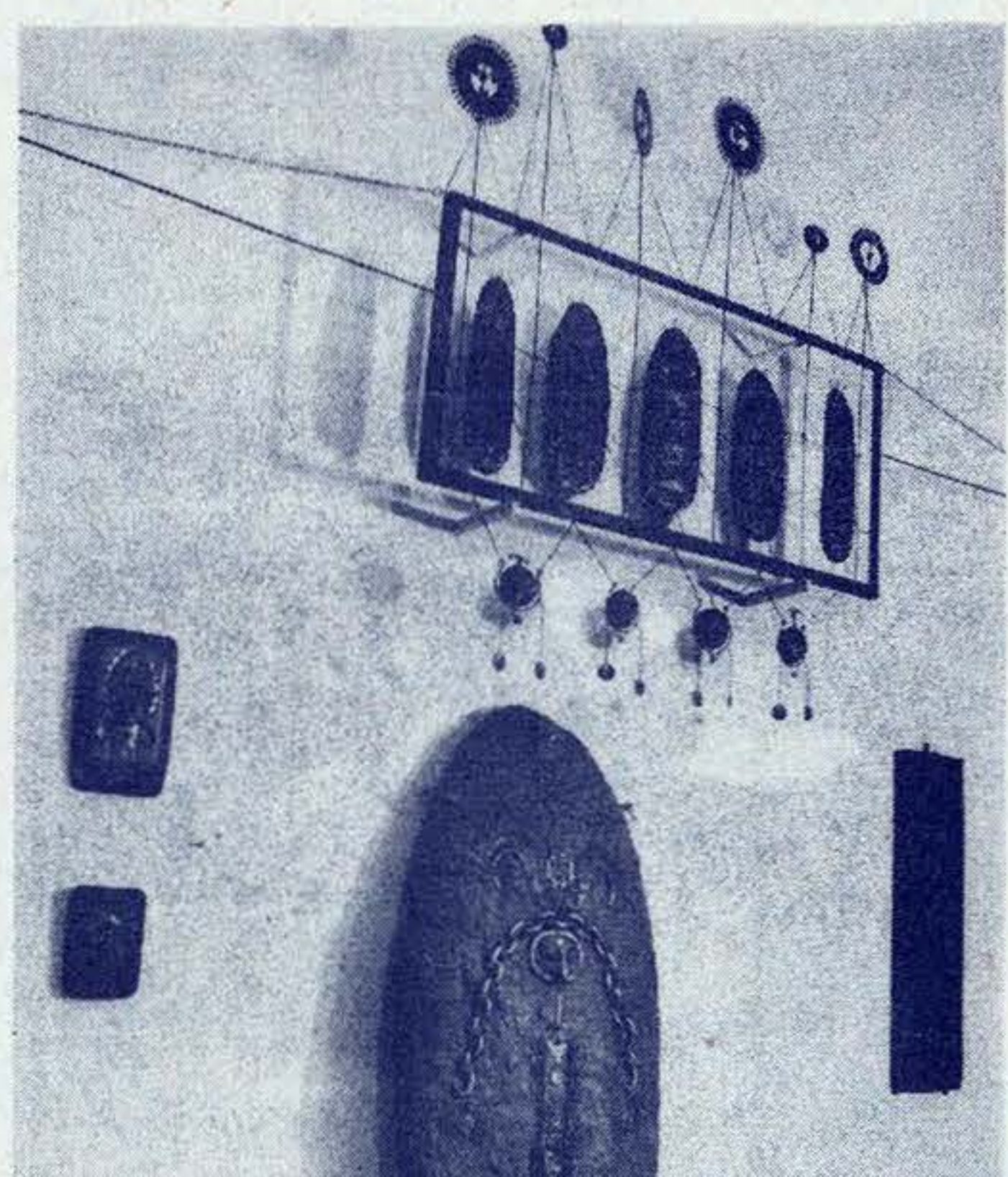
— Stuchajcie no, my tu nie przyszliśmy na kabaret. Sytuacja jest poważna. Wobec powyższego występujemy do waszej firmy z wnioskiem o przyznanie dziesięcioprocentowego dodatku na wasz rozwój.

— Ale...

— Zadznych „ale”. I nie traktujcie tego jako podwyżkę płacy. Intencje są jednoznaczne — na rozwój.

Wszli bez słowa pożegnania. Teraz się zacznie... Moje nie za dobrze znam ludzi, z którymi pracuję, ale na ludziach się znam. Jeśli ja dostanę dziesięcioprocentowy do datku na rozwój, to ludzie z firmy też nie popuszczą. Diabli wezmą raczkujące zdrowe mechanizmy placowei!

PIOTR PIOTROWSKI



Przy okazji trzeba wyraźnie powiedzieć, że proponowany przez nas, a odrzucony przez niemiecką komisję film „Jeziorek Bodeński”, był o niebo lepszy od co najmniej połowy filmów przyjętych. Decyzja wydawała nam się niesprawiedliwa i niezrozumiała. Inne polskie obrazy odniosły spore sukcesy na targach filmowych, a na Forum Młodzieżowym triumfowała „Kobieta z prowincji” Andrzeja Barańskiego, z brawurą kreacją Ewy Dalkowskiej (premiery tego filmu odbyła się w Łagowie w czasie ostatniego Łata Lubuskiego). Film otrzymał nagrodę prasy zrzeszonej w Fipresci. Wprawdzie taką samą nagrodę otrzymał kontrowersyjny film „Shoah”, ale był on poprzedzony szaleńczą wprost reklamą.

Podawiam wielkie jury, że znalazło kandydata do nagród: złotego i srebrnych niedźwiedzi, których ja do końca

grody reżyserskiej dla tego filmu. Jury nie miało łatwego wyboru z nagrodami aktorskimi, gdyż żadna rola nie rzucała się w oczy. Ostatecznie na grodzie dostała, chyba za „miłą buzię”, Charlotte Valandey za rolę w niemieckim francuskim filmie „Pocłunek w czerwieni” Very Belmont — o życiu, marzeniach i niepowodzeniach niewielkiej komórki partii komunistycznej w Paryżu, oraz ciekawa Marcelia Cartago za rolę w przeciętnym brazylijskim filmie „Amara” Godzina gwiazd. Zastanawia mnie, czy ta nagroda dla bardzo przystojnego Tuncela Kurtza grającego w izraelskim filmie „Śmiech jagniątki” Szymona Dotana. Obraz jest nader zastanawiającą próbą częściowego przynajmniej zrzucenia winy za niepowodzenie na ziemiach okupowanych na wojskowe władze Izraela.

Z zadowoleniem zauważyłem ostatniego Srebrnego Niedźwiedzia dla fascynującego filmu brytyjskiego Dereka Jarmana „Caravaggio”. Jest to co prawda raczej zbiór dość statycznych

scen z życia wielkiego malarza, a nie skoordynowany dramatycznie scenariusz, ale ze względu na urodę, film godny uwagi. Wyróżnienie dostał film rumuński „Paso doble” Dana Pity, na którym zasnąłem.

Dość zastanawiający jest też wybór jury ewangelickiego, gdyż nagrodę otrzymał włoski film „Camorra” Liny Wertmüller pełen brutalności, erotyzmu, krzyku, awantur, pościgów. Mimo pewnych społecznych założeń i jawnego stanowiska przeciw „camorze” rządzącej Neapolem — jest to „sensacja dla widzów żądnych sensacji”, często wygłaszana w czasie projekcji. Naturalnie przyjęto bardzo dobrze piękną Annelie Moline ale sala zastygła w osłupieniu, gdy bohaterka oddawała się „w szale zmysłów” tancerzowi — homoseksualistce, który w trakcie tej zabawy „przekonywał” się do pięci omdleń.

Sporość filmów głównego festiwalu jury Fipresci przyznało swą nagrodę omdleńcy już filmowi „Stammheim” zaś Międzynarodowy Komitet do rozpowszechniania sztuki i literatury poprzez film nagrodził obraz „Caravaggio”, wybór o tyle najsluszniejszy, że jedyny możliwy.

Były jeszcze oczywiście nagrody Forum Młodzieżowego, ale ponieważ nie sposób w 12 dni zobaczyć więcej niż 60 filmów — nagrodzone filmy są mi nieznane, przeto nie mogę zająć stanowiska. Natomiast było kilka filmów poza konkursem, na które koniecznie trzeba zwrócić uwagę. Był to przede wszystkim znakomity film Sidneya Pollacka „Ucieczka z Afryki”. (Jego ostatni film w Polsce to „Tootsie”), nakręcony całkowicie w plenerze z mroźnym dźwiękiem zwierząt i ptaków w tle i dwoma groźnymi scenami z udziałem lwów.

Film wyróżnia się doskonałą kreacją, dotychczas nie lubianą przez mnie, Maryl Streep oraz Roberta Redforda i Klausa Marii Brandauera. Najgorszy był też film Williama Friedkina „Żyć i umierać w Los Angeles”, ukazujący podziemne życie tej wielkiej metropolii, i zakończony pościgiem — ucieczką samochodową na skalę nie widzianą nawet we „Francuskim łączniku”. Natomiast „niemiecki Godard” jest jeszcze gorszy. Herbert Achtenbusch wypiłaskiwał nowe „arcydzieła” pod zabawnym tytułem „Heil Hitler” (Uzdrowienie Hitlera), ale poza tytułem w tym filmie nie ma nic, co by się mogło po dobrać. Taniutki i pozaskorski film „Listopadowe koty” prod. RFN, reżyserii Sigmuna Koppke, okazał się „wielkim małym filmem”, ukazującym trud

na życie małej dziewczynki tuż przed okresem pokwitania, wraz z jej nieuregulowanym życiem rodzinnym. Film dla kin studyjnych i klubów filmowych. Smutne strony życia znakomicie ukazywał taniutki, czarno-biały film amerykański, nakręcony po angielsku i hiszpańsku na pograniczu USA-Meksyk, „Mała noc” („Smutna noc”) Gusa van Santa. Młody mężczyzna ze Stanów czeka tylko na to, aby nielegalnie przekroczył granicę USA emigrantem poszukującym pracy. Połuje na „ładnych chłopców” i znajduje jednego, który jednak za taką cenę nie chce słyszeć o dobrej płatnej pracy. Ale pojawia się, gdy jest na samym dnie nędzy i „nareście” decyduje się na współżycie z Amerykaninem. Film jest równie prawdziwy, jak amatorski, kręcony na miejscu, poza głównymi bohaterkami z ukrytej kamery. Niejedno demaskuje na tym pograniczu.

Było także kilka wartych uwagi filmów na towarzyszącej dorocznie festiwalowi „retrospektywie roku filmów zachodniomociekich”, w którym kinie „Am Steinfeld”. Rosa von Praunheim pokazał swój film „Zarzek nie zna słowa moralności”, komedię muzuyczną na temat niebezpieczeństwa AIDS. Był to film może i potrzebny w warunkach krajów zachodnich, ale mimo „sympatii” jaką cieszy się pan Rose, tym razem dyskusja nie wykazała entuzjazmu. Był też poważniejszy film na ten temat wysłany w „Kammerspiele”, ale także raczej potraktowany sensacyjnie. Co ma zrobić ze sobą ładny, zaradny chłopak, jeśli kocha się w dziewczynie? Odpowiedź: najlepiej umrzeć, co też czyni.

Bardzo ciekawy okazał się film wybitnego reżysera Xavera Schwarzenbergera „Walc dunajski”, który częściowo nawiązuje do przebiegu wydarzeń na Węgrzech w 1968 roku, ale rozgrywa się w Austrii i dotyczy ciekawego trójkąta: kochany mąż, niewierna żona i niekochany ten „trzeci”. Tło polityczne zaznaczone, ale w sposób nie budzący sprzeciwu.

W kinach obok festiwalu było kilka ciekawych filmów, w tym „Honor rodziny Prizzi”, rodzaj trochę mniej uduśniony „Ojca chrzestnego”, reżyserii Johna Hustona, ze znakomitą kreacją Jacka Nicholsona oraz z dziećmi Andrzeja Bartkowiaka, który po 5 filmach należy do czołowych operatorów hollywoodzkich. Ładny był też film Attenborougha „Chorus Line” ze wspinałymi i doskonale tańczącymi dziewczynkami i chłopcami oraz Michaeliem Douglassem w roli reżysera przygotowującego rewie. A propos Attenborougha, kreć teraz wersję taneczną muzyczną „Gandiego”, z samym Kinem Douglassem w roli głównej. Z tym, że Pandita Nehru gra Johny Trawolta!

Wreszcie dwa najbardziej uroczyste filmy przedstawiła firma Disneya. Nowa wspaniała bajeczka rysunkowa na sze roków ekranie to „Taran” (nie mylić z Tazanem), w którym bohaterki chłopiec broni królestwa i księżniczki przeciw złym czarom, oraz śliczny fabularny „Natty Gann” z wybitnie uła lentowaną młodzieńką i śliczną Meredith Salenger, która przejeżdża i prze chodzi pół Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu ojca. Ten ostatni, zniknął jej z oczu, gdy poszukiwał pracy w czasie wielkiego kryzysu amerykańskiego w latach trzydziestych. Film jest smutny, tragiczny, wesoły, fascynujący, przepięknie fotografowany w Górach Skalistych, przede wszystkim wzruszający i prawdziwy. Towarzystwem Salenger w podróży jest groźny wilk którego dziewczynka potrafiła oblać. Gdy odnajduje ojca, wilk ucieka do lasu, do wilczycy. Gdyby ten film był w konkursie, miałby mroźną nagrodę. Zegnal go długo niemilknięcie brawa, które rzadko, zbyt rzadko odzywały się na filmach festiwalowych.

LEON BUKOWIECKI

CZY BERLIN ZACH. SIĘ „WYŁOŻYŁ”?

Na festiwalu nie widziałem i byłem przekonany, że jury po prostu główne nagrody nie przyzna. Tak się nie stało. Wygrała adaptacja sztuki teatralnej „Stammheim” z teatru w Hamburgu. Bardzo zreszczonej na film przez wybitnego reżysera Reinholda Hauffa, odwarza słynny proces grupy terrorystycznej Baader-Meinhof, który odbył się przed laty na przedmieszcju Stuttgartu w Stammheim. Hauff wybrał styl dokumentalno-neutralny, to znaczy pokazał członków bandy, jak nieokrzesanych dzikusów, a siedzącego jako posthiterowca, który systemem prowadzenia przewodu, z nieustannym odbieraniem głosu oskarżonym i obrońcom, przypominał proces i spaleń Reichstagu. Tyle, że Dymitrow nie był winien i tamten proces był hitlerowską farsą, podczas gdy członkowie bandy Baader-Meinhof mieli na swym sumieniu kilkanaście trupów i kilkadziesiąt zamachów, które spowodowały kalectwo ofiar. Postacie te, w doskonałej interpretacji młodych aktorów hamburskich, nie budziły żadnej sympatii. Jego usunięcie obłe sale, sądowa na filmie i widownia w kinie przywitały brawami. Jeśli już musiał być Złoty Niedźwiedź to, przynajmniej, że tylko dla tego filmu. Mimo to nie chciałbym być w skorze polskiego członka jury profesora Jerzego Topolitz, który musiał wybierać spośród tak słabych dzieł, że większość przyjmowana była gwizdami (część decyzji jury też), a ze sporej ilości projekcji wychodziło 10-30 procent fachowej przecięt publiczności festiwalowej. Gdy nie spałem, widziałem wielu śpiących wokół siebie. Zdarzyło się to nawet red. Plazewskiemu, co świadczy nie przeciw niemu — czy mnie — ale przeciw filmom.

Nagrodę specjalną jury, Srebrnego Niedźwiedzia, otrzymał godny szacunku film Nanni Morattiego, z nim samym w roli głównej, „Idzie msza skończona”. Jest to walka młodego księdza o odzyskanie zaufania parafian, którzy zbiegli z kościoła wskutek niepopularności poprzedniego proboszcza. Bardzo dużo można się dowiedzieć o katolicyzmie włoskim — stał się „pokazowy”, ale gdzie się podziwiała wiara i czy kiedykolwiek wróci, nie wiadomo. Jeden z wybitnych katolickich krytyków powiedział mi: „Po Oświeceniu przestałem wierzyć w Boga. Gdyby był nie dopuściłby do tego”.

Nie rozumiałem filmu znakomitego reżysera Grzegorza Szengela pod tytułem „Podróż młodego kompozytora”. Nie rozumiałem więc także na-

scen z życia wielkiego malarza, a nie skoordynowany dramatycznie scenariusz, ale ze względu na urodę, film godny uwagi. Wyróżnienie dostał film rumuński „Paso doble” Dana Pity, na którym zasnąłem.

Dość zastanawiający jest też wybór jury ewangelickiego, gdyż nagrodę otrzymał włoski film „Camorra” Liny Wertmüller pełen brutalności, erotyzmu, krzyku, awantur, pościgów. Mimo pewnych społecznych założeń i jawnego stanowiska przeciw „camorze” rządzącej Neapolem — jest to „sensacja dla widzów żądnych sensacji”, często wygłaszana w czasie projekcji. Naturalnie przyjęto bardzo dobrze piękną Annelie Moline ale sala zastygła w osłupieniu, gdy bohaterka oddawała się „w szale zmysłów” tancerzowi — homoseksualistce, który w trakcie tej zabawy „przekonywał” się do pięci omdleń.

Sporość filmów głównego festiwalu jury Fipresci przyznało swą nagrodę omdleńcy już filmowi „Stammheim” zaś Międzynarodowy Komitet do rozpowszechniania sztuki i literatury poprzez film nagrodził obraz „Caravaggio”, wybór o tyle najsluszniejszy, że jedyny możliwy.

Były jeszcze oczywiście nagrody Forum Młodzieżowego, ale ponieważ nie sposób w 12 dni zobaczyć więcej niż 60 filmów — nagrodzone filmy są mi nieznane, przeto nie mogę zająć stanowiska. Natomiast było kilka filmów poza konkursem, na które koniecznie trzeba zwrócić uwagę. Był to przede wszystkim znakomity film Sidneya Pollacka „Ucieczka z Afryki”. (Jego ostatni film w Polsce to „Tootsie”), nakręcony całkowicie w plenerze z mroźnym dźwiękiem zwierząt i ptaków w tle i dwoma groźnymi scenami z udziałem lwów.

Film wyróżnia się doskonałą kreacją, dotychczas nie lubianą przez mnie, Maryl Streep oraz Roberta Redforda i Klausa Marii Brandauera. Najgorszy był też film Williama Friedkina „Żyć i umierać w Los Angeles”, ukazujący podziemne życie tej wielkiej metropolii, i zakończony pościgiem — ucieczką samochodową na skalę nie widzianą nawet we „Francuskim łączniku”. Natomiast „niemiecki Godard” jest jeszcze gorszy. Herbert Achtenbusch wypiłaskiwał nowe „arcydzieła” pod zabawnym tytułem „Heil Hitler” (Uzdrowienie Hitlera), ale poza tytułem w tym filmie nie ma nic, co by się mogło po dobrać. Taniutki i pozaskorski film „Listopadowe koty” prod. RFN, reżyserii Sigmuna Koppke, okazał się „wielkim małym filmem”, ukazującym trud

dzij innymi obrazami M. Kępińskiego (dla przykładu — jego „Trasa” kosztowała ok. 80 tys. złotych), M. Wolczuka („Tryptyk” — 257.500 zł) i C. Wodnickiej-Zabkowskiej („Polski kamień” kosztował ok. 123 tys. zł). Z Poznania przywieziono również (zakupy opłacił Państwowy Fundusz Zamówień Plastycznych przy Ministerstwie Kultury i Sztuki) obrazy bułgarskie, które mają stać się zaczątkiem większej kolekcji.

Spacer po sąsiedztwie zaprowadził nas do Muzeum Ziemi Lubuskiej. Jego Dział Sztuki Współczesnej z Armandem Felchnerowskim i Leszkiem Kanią — pokusił się, w oparciu o zakupionych jedenaście obrazów A. Fogitta z Warszawy, o stworzenie nowej galerii autorskiej. Postać Fogitta znana jest u nas między innymi z plastycznej aranżacji Muzeum Archeologicznego w Świdnicy. Wzbogacił się też tzw. plan historyczny zbiorów wojewódzkiego malarstwa polskiego. Cennym nabytkiem są dwa reliefy H. Stażewskiego z 1969 i 1973 roku. Z ostatniego Interartu przyjechał „Opiekun” W. Hasióra (za 309 tysięcy). Obrazy te prezentowane już na wystawie „Malarstwo polskie 1945-1985” w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej. Poza tym bogate zbiory grafiki powiękły się o „Cykl muzyczny” J. Kraupera-Swidorskiej oraz prace B. Narepskiej-Debskiej i T. M. Siary. Zakupione rysunki J. Berdyskiego dołączają do eksponatów w nowej galerii.

Co prawda nie ma jeszcze mody na chodzenie do PALMIARNI, ale po wizycie w BWA i Muzeum powędrowałam my schodami na wzgórze. Andabata nie wypowiadział się, gdzie pisuje swe listy, lecz mam nadzieję — tak chce tradycja i zdrowy rozsądek — że pod

którąś z palm, a nie w bocznej sali bankietowej, niczym nie różniące się od innych urzędowo-kawiarnianych... Właśnie w takiej sali odbyło się spotkanie przedstawicieli miejscowych instytucji kulturalnych z artystami z zagranicy (rozrywkową również) przyszłości Palmiarni. Jeden z najbardziej uroczych zakątek Zielonej Góry cierpi albo na nadmiar klientów, albo na dotkliwą pustkę. Pierwsze ma miejsce w czasie zabaw organizowanych przez za kłady pracy, drugie zaś w powszednie dni. Późnym życzeniem gospodarzy Palmiarni byłoby uczynienie z niej atrakcyjnego, pulsującego życia, kulturą — ośrodka. Wyobraźmy sobie więc, a tak proponowała Estrada. Filharmonia, BWA, Wojewódzki Dom Kultury, że wśród pięknej zieleni, przy dobrym fortapienie będą koncertować pianisci, zespoły kameralne, występować piosenkarze, kabarety, zespoły folklorystyczne, a także rozmaici twórcy nieprofesjonalni. Szczególną atrakcją miałyby być prezentacje form malarskich, graficznych, nawet rzeźbiarskich. (Choć problem pustej sali nie leży w atmosferze, to przydałoby się intymne oświetlenie każdego stolika wieczorową porą).

Może spełnione plany i marzenia zmienia smutną na razię rzeczywistość i Palmiarni, i „nocnego” życia w Zielonej Górze (pomijam wszelkie rodzaje się problemy: np. nadmiar alkoholu i śledzik w towarzystwie dzieła malarskiego, bo o to kłopotać się będą organizatorzy). I zamiast słuchać niewybrednych żartów w wykonaniu byłowców „Pod Orlem”, będziemy chodzić na spacer do Palmiarni — już też z nowym obliczem.

CHOSZCZNO. Przed X Ogólnopolskim Młodzieżowym Przeglądem Piosenek odbyły się eliminacje międzywojewódzkie z udziałem zespołów i piosenkarzy z 7 województw Polski północno-zachodniej. Jury po przesłuchaniu 24 piosenek zakwalifikowało do finału wrocławskie zespoły: „Coda” z Koszalina, „Pierwiastek z trzech” ze Szczecina, „Non Iron” z Poznania, „Raja Bess” z Choszczna i „Wilczy pająk” z Poznania. Puchar Gorzowskiego Towarzystwa Kultury otrzymał zespół „Raja Bess”, a puchar naczelnika Choszczna — zespół „Non Iron”.

GORZÓW. Teatr im. Juliusza Osterwy od lat owocnie współpracuje z frankfurckim Teatrem im. Heinricha Kleista. Pod koniec lutego br. na scenie gorzowskiej gościł z NRD wystawili operę Haendla „Juliusz Cezar”. Przedstawienie bardzo się podobało publiczności. W przyszłości teatr frankfurcki obiecuje przywieźć do Gorzowa sztukę dramatyczną. ★ Gorzowianin Zdzisław Morawski, poeta, prozaik, dramaturg i publicysta, związany organizacyjnie z poznańskim Oddziałem Związku Literatów Polskich, został wybranym przewodniczącym Komisji Rewizyjnej ZLP.

SULECHÓW. Po raz czwarty odbyły się „Dni muzyki Fryderyka Chopina”, organizowane tradycyjnie przez Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego i sulechowski placówki kultury. Głównym punktem Dni był koncert symfoniczny w wykonaniu orkiestry Filharmonii Zielonogórskiej pod batutą doc. Szymona Kawalli i Lidii Grychtolówny (fortepian).

ZIELONA GÓRA. Lubuskie Towarzystwo Kultury zorganizowało spotkanie prezesa i działaczy regionalnych towarzystw kultury z terenu województwa zielonogórskiego. Prócz zwiedzania wojewódzkich placówek kultury regionalistę dyskutowali nad programem 30-lecia ruchu regionalnego na środkowym Nadodrzu. W niezwykle ciekawej dyskusji padło wiele pytań o stan ruchu regionalnego, jego rolę i przyszłość. Wydaje się, że kiedyś bardzo aktywny ruch najlepsze lata ma już za sobą. Odczuwa on dotkliwie brak działaczy, szczególnie młodych. Inicjatywy społeczników nie spotykają się z szeroką akceptacją i poparciem władz. Poza nielicznymi towarzystwami regionalnymi ruch ten już niewiele ma do zaproponowania, stał się statyczny, formalny. Przyczyn tego zjawiska upatrywano m.in. w tym, że cała polska kultura ostatnich lat odczuwa olbrzymie trudności w realizacji przyjętych planów. Placówkom brakuje pieniędzy na działalność, sprzętu, specjalistów, ale i często pomysłów, które zainteresują społeczeństwo. Przedstawiciele Nowosolskiego Towarzystwa Kultury zgłosili wiele propozycji, m.in. by towarzystwa regionalne pełniły funkcje doradcze przy naczelnikach. Działacze z Lubuska chcą utworzyć w tym mieście muzeum regionalne. Reprezentanci Sekcji Plastyki Amatorskiej LTK przypomnieli, że od lat wolają o zorganizowanie w Zielonej Górze galerii sztuki nieprofesjonalnej. Obecny na spotkaniu sekretarz KW PZPR Zygmunt Stabrowski z uwagą wysłuchał wniosków regionalistów i obiecywał udzielić pomocy. Nie będzie jednak ona skuteczna, jeśli lokalne władze nadal będą traktowały ruch regionalny i jego działaczy jak najeźdźców. ★ XII Międzynarodowy Festiwal Zespołów Pieśni i Tańca odbędzie się w dniach 8-14 września br. w Zielonej Górze. Festiwal odbywa się pod auspicjami międzynarodowej organizacji gospodarzy festiwali folklorystycznych CIOFF. Komitet Organizacyjny, któremu przewodniczy wicewojewoda zielonogórski dr Krzysztof Kaszyński, rozstał zaproszenia do następujących państw: Hiszpania, Włochy, Wielka Brytania, Norwegia, Szwajcaria, Jugosławia, Grecja, Turcja, Bułgaria, Węgry, Związek Radziecki, NRD. Spodziewany jest przyjazd zespołu z Indii. Być może w amfiteatrze zielonogórskim wystąpi grupa folklorystyczna z Afganistanu. Na posiedzeniu Komitetu Organizacyjnego zatwierdzono budżet festiwalu, który po stronie wydatków zamyka się kwotą 12,5 mln zł. Na dochody składają się: dotacja Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury — 5,5 mln zł, wpływy z transmisji telewizyjnych — 1 mln zł, zakup koncertów przez Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy — 1 mln zł, sprzedaż biletów — 1,5 mln zł oraz dotacja Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze. Z okazji festiwalu ukazuje się plakat i folder (proj. art. plastyka J. Jędrzejewskiej), medal z podobizną prof. Krzyżanowskiego (proj. art. rzeźbiarza Józefa Stasińskiego) oraz pamiątki festiwalowe (m.in. torby). Scenografię koncertów w amfiteatrze przygotował Jerzy Gorazdowski, reżyserem będzie Gerard Nowak, a koncerty poprowadzi Józef Broda. Zdecydowano, że zespoły folklorystyczne wezmą udział w korowodzie winobranimowym, wystąpią w domach kultury województw: gorzowskiego, legnickiego i zielonogórskiego. XII MFZPIT odbędzie się pod patronatem prezesa Naczelnego Komitetu ZSL i marszałka Sejmu PRL — Romana Malinowskiego. ★ W IX Wojewódzkim Przeglądzie Amatorskiego Ruchu Muzycznego „Estrada Muzyczna '86” wzięło udział 28 zespołów i 2 solistów. Jury pod przewodnictwem red. Eugeniusza Banachowicza stwierdziło, że poziom imprezy był w tym roku wyjątkowo wysoki, a przygotowanie muzyków i wokalistów dobre. Jury przyznało nagrody główne zespołom: „Bez tajemnic” z Zagania, „Montwana paka” z Wolsztyna i big-bandowi „Mrowisko” z Zielonej Góry. Wyróżnienia otrzymały: big-band „Dozamet” i Zespół Szkół Elektrycznych z Nowej Soli, zespół „Edek i spółka” z Zielonej Góry oraz duo gitar „Mrowisko” z Zielonej Góry. Wyróżnienia indywidualne przyznało: Ireneuszowi Sawickiemu i Mariuszowi Bednarskiemu z Zielonej Góry, Mirosławowi Kuźniakowi i Bogdanowi Suchanowi z Zagania oraz Romualdowi Vobredowi z Wolsztyna. Nagrodę w postaci gitary (kopia Fender — Stratocaster, wartości około 100 tys. zł), ufundowaną przez Sławomira Tofiła z Pracowni Konserwatorskiej Instrumentów Strunowych w Żarach, otrzymał Bohdan Lizio — gitarzysta zespołu zielonogórskich. ★ Na przełomie lutego i marca br. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna była nieczynna z powodu braku opał. Zdarzało się to także w latach poprzednich.

ZAPROSILI NAS: zarządy wojewódzkie ZBoWiD, TPPR i Stowarzyszenie „Wisła-Odra” w Zielonej Górze na uroczystości do Cybinki, Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na otwarcie wystawy ceramiki Bronisława Wołanina, Wojewódzki Dom Kultury w Zielonej Górze na IX Wojewódzki Przegląd Amatorskiego Ruchu Muzycznego, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Kielcach na otwarcie wystawy rysunku francuskiego, Osiedlowy Ośrodek Kultury „Ziemowit” w Kielcach na spotkanie autorskie z Bogumiłem Wtorkiewiczem, Zarskie Towarzystwo Kultury na sejmik kultury, Lubuskie Towarzystwo Naukowe na spotkanie z dr. Przemysławem Mnichowskim, Zarskie Towarzystwo Kultury na otwarcie „Galerii” Exlibris i wernisaż wystawy z kolekcji Józefa Tadeusza Czosnyki z Wojewódzkiego Wojewódzkiego Dom Kultury na eliminacje wojewódzkie XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Pax w Zielonej Górze na wystawę „Motywy sakralne w exlibrisie”, Galeria Sztuki PSP w Zielonej Górze na wystawę malarstwa Józefa Burlewicza, Wojewódzki Komitet Pokoju w Zielonej Górze na sympozjum „Odra — Nysa Łużycka granicą pokoju”, Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na spotkanie ze sztuką Joanny Czerwińskiej w galerii „Po”. Dziękujemy.

nadodrze

DWUTYTYŚCIENNY, PROSZĘ O KULTURALNY ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 64-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 64-065 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 46. Telefon: redakcji naczelny i sekretariat — 708-35, sekretariat redakcji — 39-12 oraz centrala — 46-61 do 7 i 9; telefony wewnętrzne: Telex — 043-2553.

Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Mastowska (składzająca), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. nacz.), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 64-076 Zielona Góra, ul. Reja 3. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 64-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25, 64-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i fotografie) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wycofania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótu i zmian tytułowych.

Zam. 187 1-18

„NADODRZE” — 21 III — L IV, 1986; ROK XXX; NR 6 (611)



Redakcja: 64-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 64-065 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 46. Telefon: redakcji naczelny i sekretariat — 708-35, sekretariat redakcji — 39-12 oraz centrala — 46-61 do 7 i 9; telefony wewnętrzne: Telex — 043-2553.

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 64-076 Zielona Góra, ul. Reja 3. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 64-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25, 64-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i fotografie) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wycofania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótu i zmian tytułowych.

Zam. 187 1-18

„NADODRZE” — 21 III — L IV, 1986; ROK XXX; NR 6 (611)

EMMA

Krótki spacer CZYLI co słysząc w kulturze

Zasygnalizowany w tytule temat jest bardzo obszerny, a że na spacer po Zielonej Górze chodzą też i inni dziennikarze, my ograniczymy się do odwiedzin w BWA, Muzeum i Palmiarni.

Zapewne niektórych zainteresowała lutowa wystawa w Biurze Wystaw Artystycznych. Przedstawiono na niej płon zakupów dokonanych na Targach Sztuki Krajów Socjalistycznych Interart 84 i '85 w Poznaniu. Kupującej, Ewelinie Felchnerowskiej, przyswiewał zamysł dopełnienia posiadanych przez Biuro dzieł o nazwiska znane w środowisku lubuskim czy to ze „Złotego Gro na”, czy też z dotychczasowych wystaw w BWA. Poza tym prace spełniały warunki przydatności w pracy popularyzatorsko-oświatowej Biura. Na przykład — obrazy figuralne H. Madraczkiego dzięki swym niewielkim rozmiarom mogły być przewożone i eksponowane w domach kultury, zakładach pracy, świetlicach. Zbiory Salonu powiększyły się o znakomite grafiki K. Strzelińskiego, cykl „Młodym młodziem” R. Piórczaka oraz prace L. Miałowskiego, M. Wąsowskiej, Dudka-Dürera. Wśród dzieł malarskich zakupiono mł.

Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 64-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 46. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 71-705.

POSTAWY

Gdy jeden z renomowanych tygodników opublikował moją krotką, aca ostrą korespondencję, wielu znajomych, przyjaciół składało mi wyrazy uznania, albo tylko współczucia. Odbierałem to wszystko różnie. Cieszyło mnie jednak, iż tekst wywołał zainteresowanie. Po paru dniach otrzymałem listy czytelników z różnych stron kraju. Ich ton był podobny. Ktoś gratulował odwagi, ktoś ubolewał, że taki naiwny, ktoś dziwił się, że w ogóle mi się chce w ten sposób zabierać głos i że jeszcze nie załamam. Ludzie pisali — trzeba przyznać — grzecznie. Anonimowo. Na maszynie.

Jeden list uznałem za najbardziej niepokojący. Spowodował on ten felieton. Autor, kulturalnie, ale nawymyślał mi sporo. Ze chybą jestem zbyt młody, na pewno naiwny, a dowodem na to — ta sama prasowa wypowiedź. Czy ja nie widzę? Przecież nie warto nic robić — pisał ów czytelnik — i tak nic z tego nie wyjdzie, nie ma w ogóle sensu się szarpać. No, w takim stylu.

Z etatowego i społecznego obowiązku uczestniczę w wielu zebraniach, spotkaniach, mam okazję słyszeć najróżniejsze obywatelskie opinie. Inna sprawa — czy zawsze są to opinie rzeczyste obywatelskie. Ale widzę, że niektórym ludziom brak wiary w sens solidnego, uczciwego wysiłku w pracy zawodowej i pozazawodowej, organizacyjnej.

Nie zgadzam się z takimi postawami, choć jednostki w ten sposób myślicie rozumieć. Istotnie, w wielu ogniwach naszego życia gospodarczego, społecznego idzie, jak z kamienia. Zapadają uchwały, wprowadza się przepisy, przebiega kontrola, dokonuje się nawet zmian kadrowych, nie tylko kierowniczych — ciągle tak samo albo nie wiele lepiej.

Winnych zawsze nie trudno wskazać. Biorąc chyba sprawiedliwie trzeba po wiedzieć, iż są wysoko i nisko. Bo przecież — jeśli się szefowi nie chce, od siebie, z własnego przekonania to najspanialsze i odgórne dyktando nie wiele w jego firmie spowodują. Podważeni — z reguły przyzwyczajeni

Malkontenci mają rację?

trochę do niedoskonałości — nie szarpią się nagie do przodu z osobistego poczucia odpowiedzialności. Sprawy będą szły po prostu topornie.

Doswiadczenie uczy, teoria też, iż zakład jest zawsze taki, jaki jest jego „dowódca”. Ostatnio prasa informowała, jak dużo dla wielkiej firmy, zatrudniającej kilkadziesiąt tysięcy ludzi, znaczy szef o ciekawej, „efektywnej” osobowości: nie tylko w USA, również w Japonii, Jugosławii.

Z drugiej strony — trudno sobie wytłumaczyć fakt „huczej” krajowej „na gonki” na brud, gdy jednocześnie tak bardzo nie dostaje niektórych środków do mycia, proszków, ręczników, papieru toaletowego i elementów technicznych utrzymania czystości. Więc zaleceń, nerwów sporo, ale przecież nawałnica przechodzi — i jest, jak jest. Unikajmy tego rodzaju przedsięwzięć, a przynajmniej niech w praktyce obowiązują sprawdzających rozsądny punkt widzenia. Inaczej — wszyscy, w różnym stopniu, będziemy sfrustrowani.

Choć wiele rzeczy układa nam się mało ciekawie, nie wolno iść na zgodę z tymi, którzy się załamali, na wszystko machnąć ręką, nie wierząc w sens jakiegokolwiek wysiłku. „Pan jeszcze wierzy, że...?” Oczywiście, tak. Przy całej świadomości naszych błędów, a nawet parano; gdzieś tam. Gdybyśmy tak wszyscy, albo przynajmniej większość z nas popadli w totalną obojętność, to co? To wtedy ówch niedoścignięcie będzie mniej? Dlatego, że usuwać je będą inni, za nas? Kto to są „inni” lub „oni”? Przepraszam za litanie pytańników.

Ten „inny”, to żaden ktoś tam. Ty nim jesteś, ja i ten obok. Ot i cały ambaras. Jeżeli Ty, Czytelniku, się starasz, próbujesz lepiej, mimo barier. Jeśli coś Ci się udaje, jednak... Gdy ja też podejmuję dodatkowy wysiłek, w trudnych warunkach, atakuje, niepokoję... To co, razem mamy robić prezenty tym, którzy tylko wstrząsają ramionami, w najlepszym razie pracują „na odczep się” i mają pretensje do wszystkich, którzy — ich zdaniem — powinni?

STANISŁAW SWINIARSKI

MoRGinałki

LAMENT KRYTYKA. Leszek Żuliński, znany recenzent stołeczny, publikujący również w bydgoskich „Faktach” stale felietony tym razem w nrze 9 tego tygodnika opisuje swój „Stresogeny zawód”, kończąc następująco: „Lubię ten zawód, nazywam go nawet poświęceniem, chcę dalej nabawić się tych stresów i zmępień. Jak większość ludzi, którzy narzekają a jednak wiedzą, że ich praca jest ich życiem.” Masochistyczna sa moudreka krytyka zaiste wzbudza szczerą współczucie. Dotychczas bowiem recenzent lamentował nad stanem polskiej literatury.

WYZNANIA EROTYCZNE. Zawsze z lubością cytujemy wyznania erotyczne pani Anny Biazuckiej, ujawnianie na la mach „Rzeczywistości”. Tym razem w nrze 5 miła nam autorka pisze: „Pietaszka jako stuprocentowemu, choć stonowanemu nieco przez trudy życia mężczyźnie dokucza oczywiście zarost. Raniusieńko po gołębim ma twarz miękka i eksmianowa jak niemowlę, ale pod wieczór pokrywa ją już nalał drobnych, ostrych i licznych pitelek, skutkiem czego mocno kluje mnie przy całowaniu, bez którego jako stuprocentowa kobieta, a ponieważ także do pewnych granic idealistka, nie mogę się obyć. Ci, którzy wyobrażają sobie sobie jako cyniczną seksmaszynę, może zdziwią się w tym miejscu, ale tak jest. Bez patrzenia sobie w oczy, całowania się, tulenia i delikatnych, bezinteresownych, pieszczot w okolicach prawego lub lewego ucha, a także paciorków dzielących plecki na dwie zwierzchności, nie ma miłości. Skoro mi tego z jakimś facetem w łóżeczku zabrakło, stanowiąco widomy dowód, że nie czuję do niego żadnej miłości i że spędziwszy z nim noc, o poranku uczynię wszystko, żeby się go jak najprędzej i nieodwołalnie pozbyć”. Panowie, zalecamy gołębim raniem i wieczorem!

LUBUSIANA. Przyszła ostatnio została nagroda mieszczyńska „Literatura” za Książkę Roku. Otrzymał ją Witold Zalewski za powieść pt. „Pozegnanie Twierdzy”. Miło nam donieść, iż — jak uławiano to w styczniowym numerze — pisma Krzysztof Mitrak — wśród branych pod uwagę innych książek znalazła się również powieść Wojciecha Czerńskiego „Katedra w Kolonii”, natomiast do Nagrody Młodych, choć nie przynajmniej, kandydowała m.in. powieść Zbigniewa M. Jelinka „Dział ogłoszeń”. Sami nie wiemy, co posiadamy...

OSWIADCZENIE PRZYJOMNE. W cyklu Oświadczeń publikowanych przez różnych artystów na łamach „Tygodnika Powszechnego” a deklarujących postawy neofickie, znalazła się ostatnio wypowiedź przytomna (TP nr 9) znana go piosenkarza Wojciecha Młynarskiego.

do „Poniedziałek” różną częścią rozpowszechnia się o mnie wiadomości, że śpię wam moje piosenki w kościołach, oświadczam, że ani dotychczas nigdy w kościołach nie śpiewałem, ani w przyszłości śpiewać nie zamierzam, uczącąc kościół za miejsce niesposobne dla tego rodzaju kabaretowego repertuaru. Ach, jaki zawód pan sprawił, panie Wojciechu, dewotom wszelkiej maści!

POBLAZLIWOŚĆ? W tymże numerze „Tygodnika Powszechnego” Ewa Szumanska wykazuje nadmierną pobłażliwość wobec ludzi, łamiących jedno z przykazań: „Nie kradnij”. W publikacji pt. „Zajadłość” pisze m.in.: „Ukazuje się też czasem wzmianki o wyrokach kilku lat więzienia za drobny malwersację czy wyniesienie czegoś z zakładu pracy. Przyjmowane są na ogół z satysfakcją, rzadko wywołują odruch ucieki z przeczku sprzeciwu, jeszcze rzadziej otwartego protestu”. I słusznie. Myślenie p. Szumanskiej jest opaczne wobec wszystkich norm moralnych, obowiązujących w każdym społeczeństwie. Typo we myślenie księżycowe.

PROKURATOR POTRZEBNY OD ZA RAZ! Zbigniew Nienacki, autor głośnej powieści „Raz w roku w Skierówkach”, zabiera głos w ankiecie literackiej „Tygodnika Kulturalnego” (nr 10), publikując artykuł pt. „Pisarz prowokator i obrazoburca”. Swoją wypowiedź kończy następująco: „Co zaś tyczy roli krytyki i promocji literackich — to wyobrażam sobie na ten temat wielokrotnie i w różnych czasopiśmiech. Jestem zdania, że stanem naszej krytyki powinien być stan prokuratury”. Po takim wezwaniu trudno się dziwić stresogennym nastrojom krytyka Leszka Żulińskiego i wielu innych.

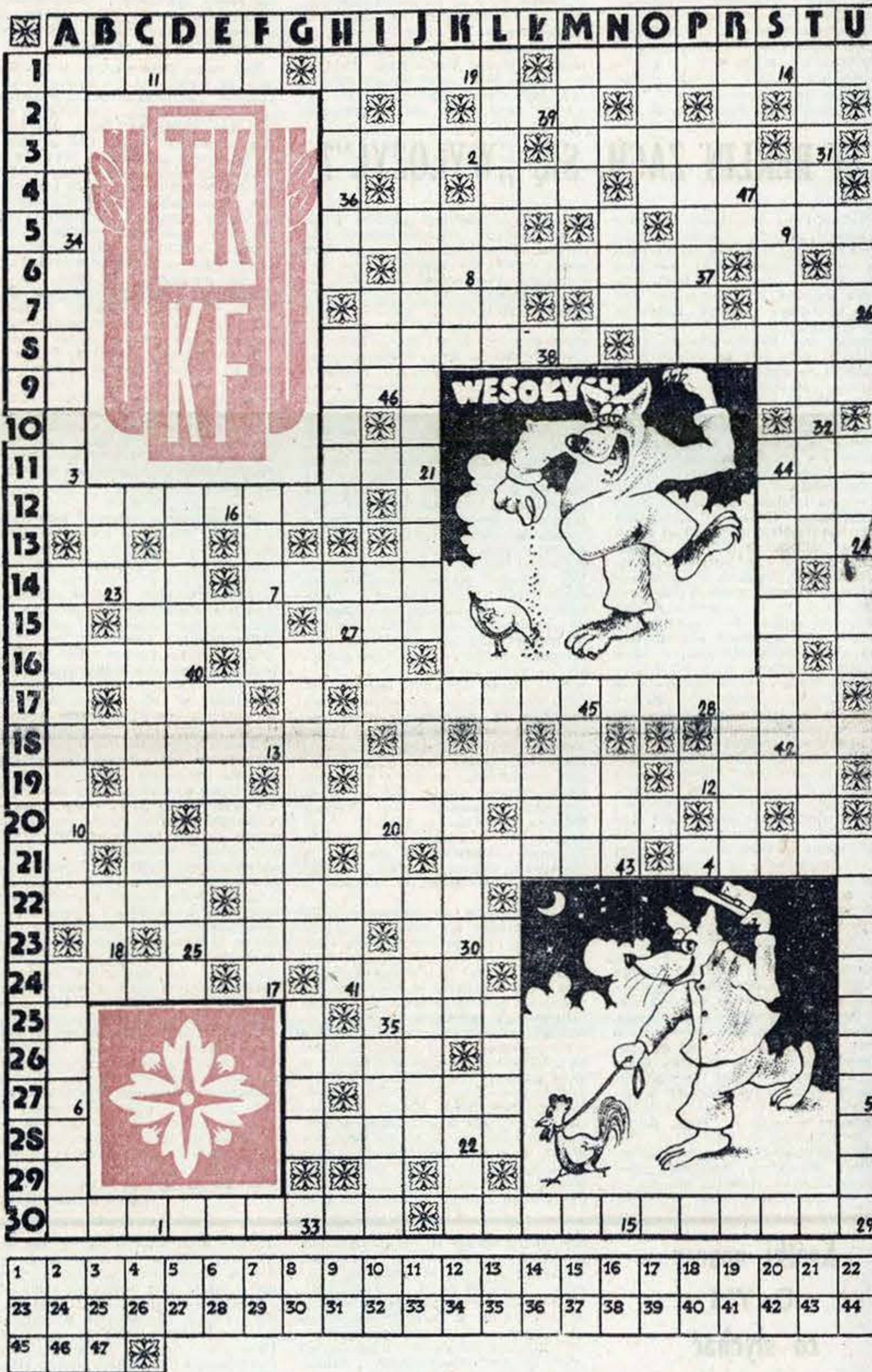
O NAS W „POLITYCE”. „Kim jest prezes?” — taki tytuł nosi notatka, pomieszczona w nrze 10 stołecznej tygodniaka, w rubryce „Fusy, plusy i minusy” a dotycząca opublikowanych w „Nadodrz” dwóch odcinków fragmentów wspomnień Włodzimierza Sokorskiego, opatrzonych redakcyjnym tytułem „Epizody z życia erotycznego”. Fragmenty wyjęto ze wspomnień, drukowanych przez autora w „Miesięczniku Literackim”. Dowcipniś z „Polityki” dąży się, że nie ukazały się one w cyklu „Sceny miłosne w literaturze pięknej”. A czyżby to była literatura piękna?

Z KATOWIC DONOSZA... Wydawany w Katowicach tygodnik „Tak i Nie” (nr 10) w dużej części poświęcony został ko bietom i relacjom z Zielonogórskiego. Wiesław Wilczek: „Damskie rzędy, nie raz twardsze aniżeli męskie, jednak mniej bał...” Andrzej Karpeta: „— Coś cie jej zrobił? Mariolka mówi, że ty i ten... Tak było, Mariolko? Powiedz, nie boję się...”. Natomiast z Zielonogórskiego dwa teksty: „Bombby polityczne” czyli rzecz o konflikcie w nowosolskim „Dzienniku” oraz rozmowa z Józefem Zwiabielem, nauczycielem z Lubięcina. W rewanżu wkrótce opublikujemy cykl reportażu ze Śląska pt. „Ciemne anioły”.

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA

Nagrody ufundowane przez Zarząd Wojewódzki
Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej w Zielonej Górze.
1. Dres sportowy, 2. Przrząd gimnastyczny „UFO”, 3. Piłka siatkowa,
4. Wrotki, 5. Ekspandor.

Opracował Stanisław Patycki
Rysował Leszek Hermanowicz



ZNAJZENIE WYRAZÓW:

POZIOMO: 1. Wiekanocne tuż, tuż • kałeksy • wyobraźnia, urojenie. 2. Wytyczona trasa. 3. Wyspa — marzenie powrotów • gobelin. 4. Dawny uczeń • obszar ziemi. 5. Miasto u podnóża Harzu (NRD) • stal stopowa. 6. Białko proste, gł. składnik włosów, rogów. 7. Formacja piłkarska • miękki, lekki metal • starożytny dostojnik. 8. Pisarka włoska, rzeczniczka emancypacji (1876-1960) • marynarka od damskiego kostiumu. 9. Strój żałobny • papuga. 11. Część twarzy • stolica Baszkirii. 12. Bursa • dola. 13. Płynię przez Puszczę Goleniowską. 14. Szczątki statku • rodzi się ze strumyka. 15. Zawartość krateru • wiatr nad jez. Garda (Włochy) • siekacz. 16. Część przebytej drogi • 15.04.1948. 17. Niski głos • nieborak, pechowiec. 18. Złodziejstwo • waćpan. 19. Torba, wór • kowboj • urok. 20. Łączy blachy • przeciwnik w dyskusji • autor „Dziesięciu dni, które wstrząsnęły światem”. 21. Związek organiczny kwasu i alkoholu np. tłuszcz • kminkówka • nadzienie. 22. Na twarzy • lub na skarpacie • pomocniczy duchowny. 23. Ogromna jesiń • uszczelniać. 24. On i ona • jabłko. 25. Starożytna kraina w Iranie.

26. Słynna Ada. 27. Kwaśna przypawa. 28. Wyściełany mebel. 29. Dawna nazwa samochodu • zgułne skutki.

PIONOWO: A. General Walter • najstarsze miasto chrześcijańskie • malowane jajko. B. Przepływa przez Konstantynów Łódzki • z Adamem. C. Dekoracyjna odmiana gipsu. D. Lekkomysłna wyprawa • przy jej ujściu Belgrad. E. Chłop w spódnicy. F. Agresja • okrutny król Portugalii od 1357 r. G. W sztuce umowne postacie • np. człowiek. H. Dżdżownica • roślina śródziemnomorska • w mit. egipskiej bog Księżyca • potwierdzenie u Czecha. I. Kalif, mąż Fatimy • port algierski • Gregory, aktor amerykański • środek nasenny i przeciwwymiotny. J. Określenie cech podstawowych • walczy z Irakiem • obzar, najbliższe otoczenie. K. Angielski poeta i malarz pejzażysta (1812-88) • osada kozacka • długi poemat epicki. L. Lekki mebel z półkami • część meczu siatkówki • kończy wysiłek. M. Okres w dziejach. N. Rodzaj surduta • tłuszcz kuchenny. O. Orzeł przedni • wada waroku. P. Jama • finka. R. Rodzaj

szarady: R. Lupin • miano. S. Uszkodzone maszyny • dziewczka uliczna. T. Szumi na gór szczyt • instrument dęty • pieszczota. U. Świadczenie z ZUS-u • dawniej bal, raut • żądność, zachłanność.

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z oznaczonych pól od 1 do 47 należy przenieść do dolnego diagramu i odczytać hasło, które wystarczy podać, aby wziąć udział w losowaniu nagród. Rozwiązania należy przesyłać pod adresem redakcji w ciągu 14 dni od ukazania się numeru załączając zamieszczony niżej kupon.

KUPON

CZY